

KATOLICKI TYGODNIK ILUSTROWANY

R o d z i n a

NR 3 (133) ROK IV

WARSZAWA 20. I. 1963

CENA 2 ZŁ



MADONNA
Z
DZIECIĄTKIEM

DRUGA NIEDZIELA PO TRZECH KRÓLACH



(Do Rzymian 12-6-16)

Bracia: Mamy dary według użytej nam łaski różne: bądź to prorocтво w zakresie wiary, bądź to wykonywanie urzędu, w nauce — dar nauczania, w upominaniu — dar strofowania. Kto rozdaje, niech to czyni w prostocie; kto jest zwierzchnikiem, niech się przejmie troską; kto pełni uczynki miłosierdzia niech to czyni z weselem.

Miłość wasza niech będzie bez obłudy. Znienawidźcie zło, a przyłgnijcie do dobra. Miłością braterską nawzajem się miłując, w okazywaniu czci jedni drugim uprzedzając. W gorliwości — nie słabnący, duchem płomienni, Panu służący, radujący się z nadziei, w ucisku wytrwali, w modlitwie gorliwi. Potrzeby świętych wspomagający, gościnności strzegący. Błogosławcie prześladowających was, błogosławcie, a nie przeklinajcie. Weselcie się z weselącymi, płaczcie z płaczącymi. Bądźcie między sobą jednomyślni, nie wynosząc się nad innych, ale się z pokornymi zgadzając.



(Św. Jan 2, 1-11)

Onego czasu: Odbywały się gody weselne w Kanie Galilejskiej i była tam matka Jezusowa. Zaproszono też na gody Jezusa wraz z uczniami Jego. A gdy zabrakło wina, rzekła matka Jezusa do Niego: Wina nie mają. I rzekł jej Jezus: Zostaw to mnie, niewiasto, jeszcze nie nadeszła godzina moja. Mówi tedy matka Jego do sług: Uczynicie, cokolwiek wam powie.

A było tam sześć stągwi kamiennych, ustawionych dla obrzędowych obmyć żydowskich, z których każda mogła pomieścić dwa lub trzy wiadra. Rzecz im Jezus: Napelnijcie stągwie wodą. I rzekł do nich Jezus: Zaczepnijcie teraz i zanieście gospodarzowi wesela. I zanieśli. A gdy gospodarz skosztował wody, która się stała winem, a nie wiedział, skąd by się wzięło (lecz słudzy, którzy czerpali wodę, wiedzieli) przywołał gospodarz wesela obłubienica i rzekł doń: Każdy człowiek daje naprzód dobre wino, a kiedy się napiją, wtedy to, które jest gorsze, a ty zachowałeś dobre wino aż do tego czasu. Taki to początek cudów uczynił Jezus w Kanie Galilejskiej i okazał chwałę swoją, i uwierzyli weń uczniowie Jego.

PIERWSZY CUD PANA JEZUSA

Umiłowani w Chrystusie Panu!

Przyjęcie przez Pana Jezusa chrztu z rąk św. Jana Chrzciciela miało na celu nie tylko potwierdzenie autorytetu i misji Jana. Miało nie tylko być dowodem wielkiej pokory Zbawiciela. To zetknięcie wody z Panem Jezusem przez jej wylanie na głowę Syna Bożego — uświęciło ją i uczyniło materialem chrztu odpuszczającego grzechy. Podobnie udział Pana Jezusa w weselnej uczcie w Kanie Galilejskiej uświęca małżeństwo, które Chrystus podnosi do godności sakramentu i czyni je w Kościele podstawową komórką rozwoju chrześcijaństwa.

Kana, dzisiaj nazwana Kafr-Kenna, jest niedużym miasteczkiem położonym o dwie mile od Taboru, a półtorej mili od Nazaretu, w którym Pan Jezus „wzrastał w mądrości i latach, i w łasce u Boga i u ludzi” (Łuk. II, 52). Do tej pięknie położonej miejscowości przybył Pan Jezus wraz z Matką Najświętszą i swoimi uczniami, przyjąwszy zaproszenie bogobojnych nowożeńców na wesele. W okolicznościach, które opisuje dzisiejsza ewangelia, Pan Jezus czyni pierwszy cud, przemienia wodę w wino i tym — jak pisze św. Jan — „okazał chwałę swoją, i uwierzyli weń uczniowie Jego” (II, 11).

Na miejscu domu, w którym odbywały się gody weselne w Kanie na pamiątkę dokonanego cudu pobudowano w swoim czasie piękny kościół, z którego niestety pozostały już tylko ruiny.

Ewangelia tchnie pięknem wielu prawd.

Na pierwszym miejscu autor ukazuje troskę Matki Bożej o bliźnich. Prosi Jezusa o cud, prosi po raz pierwszy, przypuszcza bowiem po ludzku rozumując, że Chrystus Pan mając już przy sobie grono uczniów rozpoczął tym samym publiczną działalność. Pan Jezus zrazu odmawia, Matka Najświętsza nie zraża się odmową, każe sługom czekać na rozkazy Mistrza. I od tej chwili już stale Maryja Panna wstawia się u Boga za nimi, stąd też powszechnie jest już uznana za wszechpośredniczkę łask Bożych. Jak w Kanie Galilejskiej ostatecznie Pan Jezus wypełnił Jej prośbę, i dzisiaj z pewnością Pan Bóg daje posłuch Jej wstawiennictwu.

Obecność Chrystusa Pana na godach weselnych nie tylko potwierdza prawdę o wielkości i ważności instytucji

małżeństwa od dawien dawna, ale wyraźnie instytucję tę uświęca i doprowadza ją do godności sakramentu. Zwłaszcza św. Paweł rozwija później bogactwo prawdy o sakramencie małżeństwa. Nazywa je tajemnicą, kiedy pisze: „Tajemnica to jest wielka, a ja mówię w Chrystusie i w Kościele” (Efez. V, 32). Tenże Apostoł porównuje też łączność męża i żony do łączności, jaka istnieje między Chrystusem a Kościołem. „Mąż jest głową żony, jak Chrystus jest Głową Kościoła, ciała swojego, którego jest Odkupicielem” (Efez. V, 23). Mówiąc o związku Chrystusa z Kościołem poruszamy zasadniczą myśl o Kościele jako o Mistycznym Ciele Chrystusa. Mając na uwadze ten ścisły związek, a równocześnie podobieństwo małżeństwa tj. związek mężczyzny i kobiety do związku, jaki zachodzi między Chrystusem a Kościołem, św. Paweł pisze: „Jak Kościół poddany jest Chrystusowi, tak też żony mężom swoim we wszystkim mają być poddane”, mężom zaś nakazuje: „Mężowie, miłujcie żony wasze, jako i Chrystus umiłował Kościół i wydał zeń samego siebie, aby go uświęcić obmyciem wodą w słowie żywota; i zgotował sobie Kościół pełen chwały, nieskalany i bez zwały, bez czegokolwiek, co by mu ujmę przynosiło, ale święty i niepokalany. Tak mężowie mają miłować swoje żony, jak własne swe ciała”. Oczywiście, obraz ten wynosi małżeństwo, męża i żonę do wyższego rzędu, wyciąga ich z przyziemnego pojmowania związku dwojga ludzi, czyni ich istotami, które mogą uczestniczyć z mocy sakramentu w przeogromnej skarbnicy zasług Chrystusa i Kościoła.

Małżeństwo w Kanie Galilejskiej dlatego zostało zaszczycone obecnością Pana Jezusa, bo w intencji Chrystusa miało się ono stać tym nowym związkiem dwojga ludzi, którzy dadzą początek świętym małżeństwom.

Oby dzisiejsi katolicy małżonkowie, mężowie i żony, zechcieli się wmyśleć w tę wielką prawdę o małżeństwie chrześcijańskim! W to zwłaszcza, że małżeństwo ich jest sakramentem, że z istoty swej i przeznaczenia powinno więc być święte, nierozzerwalne, pełne obopólnej, szczerzej miłości, a więc przede wszystkim wierności i wzajemnej pomocy! Czy Chrystus przeżywa jeszcze wśród was, jak wśród nowożeńców w Kanie Galilejskiej? Amen.

Ks. Bp MAKSYMILIAN RODE

PODZIĘKOWANIE

DROGIM BRACIOM KAPŁANOM ORAZ WSZYSTKIM, KTÓRZY ZŁOŻYLI MI ŻYCZENIA Z OKAZJI ŚWIĄT BOŻEGO NARODZENIA I NOWEGO ROKU SERDECZNIE DZIĘKUJĘ I Z GŁĘBI SERCA BŁOGOSŁAWIĘ.

† Bp MAKSYMILIAN RODE

Warszawa, 5.I.1963 r.

Jezus Chrystus określił charakter swego Kościoła, gdy nakazał apostołom iść na cały świat i głosić ewangelię wszystkim ludom. Kościół założony przez Jezusa Chrystusa miał być z Jego woli organizacją religijną o charakterze powszechnym, tzn. nie wykluczającą żadnej rasy, żadnego narodu ani żadnego człowieka, owszem, obejmującą całą ludzkość, dającą każdemu człowiekowi dobrej woli możliwość korzystania ze środków łaski nadprzyrodzonej, jaką w Kościele zostawił dla dobra ludzi i dla ich zbawienia jego Założyciel.

Jezus nie dzielił ludzi na lepszych i gorszych, na niewolników i wolnych, na tych którym by służyło i tych którzy mieli służyć — przeciwnie, przyszedł zjednoczyć wszystkich w jednej zasadniczej dla całego chrześcijaństwa, prawdzie, tej mianowicie, że Bóg kocha człowieka i pragnie wyłącznie jego dobra i szczęścia. To stanowi istotną treść całego nauczania i posłannictwa Jezusa Chrystusa na ziemi. On zapragnął zjednoczyć wszystkich w miłości, sam dając przykład jaką miłością odznaczać się winien człowiek w stosunku do Boga i bliźniego. Nie potrzeba chyba nikogo przekonywać, że najwyższym pragnieniem Jezusa Chrystusa było odkupić wszystkich ludzi bez wyjątku i umożliwić im wstąpienie do utraconego przez pierwotną winę dziedzictwa. Dlatego posłał apostołów z dobrą nowiną — Ewangelią do wszystkich ludzi, do wszystkich narodów. Dlatego też uczynił Kościół swój powszechną przystanią dla wszystkich ludzi mających wolę zbawić swe dusze.

Taką w założeniach swych była społeczność (kościół = społeczność, zgromadzenie), której powstanie zapowiedział Jezus Chrystus w okolicy Filipowej Cezarei: „...zbuduję kościół mój” (Mt. 16, 18). Dlatego „mój”, ponieważ różny od dotychczasowych społeczności religijnych, różny pod wieloma względami.

Kościół Jezusa Chrystusa miał wyjść poza ramy ciasnego ekskluzywizmu izraelskiego, zamykającego w moższowym prawie pojęcie Boga Jahwy jako narodowego Boga Izraela. Jeżeli w Starym Testamencie jest nawet tu i ówdzie mowa o Jahwie jako Bogu wszystkich ludzi, to judaizm interpretował takie stwierdzenie w swoistym znaczeniu: jest Bogiem narodu wybranego oraz Bogiem gojów, niewolników i sług tegoż narodu. Apokalipsa izraelska, a później Talmud stały się tego rodzaju wykładnikiem stosunku Boga do człowieka. Tymczasem cel misji Chrystusa był zgoła inny i inny cel oraz charakter Jego Kościoła: miała to być organizacja powszechna.

Kościół Chrystusa, Kościół prawdziwy musi być oczywiście Kościołem apostołskim, tzn. musi głosić tę samą naukę, którą głosili apostołowie i musi być rządzony przez biskupów, którzy są sukcesyjnie, czyli w nieprzerwanym porządku następcami apostołów. Tylko taki Kościół ma prawo utożsamiać się z Kościołem Jezusa Chrystusa.

Krótki stosunkowo okres działalności publicznej Chrystusa na ziemi nie pozwolił Mu zająć się szerzej pracą organizacyjną wśród innych narodów. Swą działalność i pracę poświęcił Jezus niemal wyłącznie swemu narodowi, izraelskiemu. W tym narodzie, przygotowanym przez proroków na wielką chwilę zjawienia się Mesjasza, założył swój Kościół, zrazu bardzo nieliczny, ale wiedział jako Bóg, że Jego nauka zyska wielu zwolenników także i wśród tych, którzy nie należeli do rodziny Izraela. Miał już za życia dowody, że ziarno ewangelijnej prawdy przyjmie się u obcych narodów łatwiej aniżeli wśród narodu wybranego, być więc może dlatego tę łatwiejszą pracę zostawił apostołom, dlatego do nich powiedział: „idąc na cały świat nauczajcie wszystkie narody, chrzcząc je w imię Ojca i Syna i Ducha św., nauczając je zachowywać wszystko, cokolwiek wam przykazałem, a oto ja jestem z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata”. (Mt. 28, 20). Nie powiedział Chrystus: nauczajcie tylko i wyłącznie naród izraelski — bo to byłby cia-

ny izolacjonizm, nie powiedział także: podbijajcie wszystkie narody pod swoje panowanie, ani: wyszukujcie i rządzcie wszystkimi narodami, ani tym bardziej: straszcie i zatrażajcie wszystkie narody, uczyniwszy sobie jedną stolicę w Jerozolimie, gdzie ja umarłem za grzechy całego świata — bo to byłaby obca Chrystusowi i duchowi Jego świętej ewangelii zaborczość. On powiedział spokojnie lecz stanowczo: nauczajcie ludzi Bożej prawdy i Bożej miłości, oczyszczając ich przez chrzest z pierworodnego grzechu. Uczcie ludzi żyć według zasad, które ja głosiłem żyjąc między wami.

Apostołowie zrozumieli to polecenie dosłownie. Dzieje Apostolskie i Listy apostołów są wymownym i niezbitym pod tym względem świadectwem. Szli apostołowie od miasta do miasta, od narodu do narodu i głosili wszędzie Dobrą Nowinę, a gdzie znaleźli ludzi dobrej woli, tam zakładali społeczności wierzących — kościoły.

Tak powstały Kościoły w Antiochii, Listrze, Derbach, Efezie, Koryncie, w Galacji, w Tessaloniakach, w Rzymie, w Laodycei itp. Tymi Kościołami opiekowali się apostołowie, pisali do nich listy, ustanawiali biskupów — i nikt się jakoś niczemu nie dziwił. Bo i czemu można by się dziwić? Czy temu, że całość z części się składa — przecież to powszechne prawo, czy temu może, że Kościół powszechny, jeden, święty i apostołowski składa się z poszczególnych kościołów narodowych — to po prostu naturalna konieczność. Sądzimy, że gdyby pośród nas stanął dziś Chrystus, dziwiłby się raczej, że jest przeciwnie: że na skutek zaborczych zapędów jednego z Kościołów narodowych, konkretnie Kościoła rzymskiego, uczyniono z boskiej instytucji, jaką był Kościół Chrystusowy narzędzie doczesnej władzy i to w dużej mierze władzy polityczno-finansowej i narzędzie duchowego ucisku wielu narodów. Z jaką np. pasją bronią watykańscy konserwatyści podczas II Soboru Watykańskiego swoich prerogatyw, jak żywo i energicznie ci czcigodni i leciwi ojcowie i purpuraci protestują przeciwko udzieleniu większych niż dotąd uprawnień episkopatowi narodowym!

Nie tylko zresztą w czasach apostołskich i wczesno-chrześcijańskich powstały kościoły narodowe, powstawały i powstają w ciągu następnych także stuleci i są częścią Kościoła Jezusa Chrystusa o ile zachowują Jego naukę, o ile mają prawdziwych biskupów i prawdziwych kapłanów. Nieważne jest czy głoszą nieskażoną Ewangelię, czy posiadają ważne sakramenty święte. Przecież Kościół w Rzymie jest również późniejszym od Kościoła w Jerozolimie lub w Antiochii, a przecież nikt z tego tytułu nie podważa jego prawdziwości.

Dziś Kościół Jezusa Chrystusa jest rozdarty wskutek wielowiekowej waśni o prestiż, wskutek reformatorskich zapędów jednych a uporu innych duchownych. Nie wolno więc wmawiać ludowi, że wyłącznie ten lub ów Kościół jest prawdziwy ponieważ założony został przez tego lub tamtego apostoła. Apostołowie wszyscy równą otrzymali od swego Mistrza władzę i tę samą przekazali swym następcom, czyli biskupom. Tak więc jeżeli jest w Kościele prawdziwy biskup i prawdziwa, Chrystusowa nauka, taka, jaką zawiera Pismo św. i jego pomocnica Tradycja, wówczas Kościół taki jest prawdziwy, jest częścią Powszechnego Kościoła Jezusa Chrystusa.

Takim Kościołem jest m.in. także nasz, Polskokatolicki Kościół.

Kościół Polskokatolicki wyznaje bowiem te same prawdy wiary jakie wyznaje Kościół rzymskokatolicki, odrzuca jedynie dogmat prymatu jurysdykcyjnego biskupów rzymskich i nieomylności papieskiej, ponieważ nie ma na to podstaw w Piśmie św. Wprawdzie rzymskokatolicki teologowie opierają się na wyjątku z ewangelii św. Mateusza 16, 13—19 i św. Jana 21, 15—17 ale tak w jednym jak i w drugim wypadku naciągają tekst biblijny do swych celów, gwałcąc zasady prawidłowego wyjaśnienia Pisma św.

(c. d. n.)

Ks. dr A. NAUMCZYK

Brytyjski premier żegluję od niepowodzenia do niepowodzenia. Robi wprawdzie dobrą minę do złej gry, ale w mózgu jego kłębią się ponure myśli. Były amerykański sekretarz stanu Dean Acheson wygłosił ostatnio wykład omawiający rolę W. Brytanii na arenie międzynarodowej. Acheson stwierdził: „Wielka Brytania straciła imperium i jeszcze nie znalazła dla siebie (nowej) roli. Wysiłki zmierzające do odegrania roli niezależnej od Europy (zachodniej), roli głowy Wspólnoty Narodów — zawiodły”.

Rzecz prosta, że tak brutalna precyzja ze strony odpowiedzialnego polityka amerykańskiego, jakim jest Acheson — mocno zabolala Macmillana, który na swym osobistym koncie ma ujemny zapis wynikający z jego wizyty u prezydenta de Gaulle'a. Celem tej wizyty było pozyskanie zgody Francji na wejście W. Brytanii do Wspólnego Rynku. Wprawdzie de Gaulle jak i Adenauer obłudnie zapewniają Macmillana, że Francja i NRF zgadzają się na udział W. Brytanii w Wspólnym Rynku ale w rzeczywistości piętą trudności i uniemożliwiają Anglii przyjęcie jej do tej organizacji.

Macmillan oferował Francji angielską bombę wodorową. De Gaulle odrzucił ofertę, gdyż chce mieć własną niezależną broń jądrową.

Prawie nazajutrz po rozmowach francuskich Macmillan spotkał się z prezydentem Kennedy'm. W wyniku tych rozmów Macmillan dowiedział się, o czym wiedział zresztą, że USA nie rezygnują z monopolu termojądrowego w świecie zachodnim.

Na Bahamacach Kennedy wystąpił z projektem utworzenia „wielonarodowych sił jądrowych” Paktu Atlantyckiego. Macmillan musiał się na to zgodzić, mimo, że sprawa nie została dokładniej sprezykowana. De Gaulle natomiast nie wyrażał tą nową ideą żadnego zainteresowania, która w pewnych warunkach może stać się furtką dla zbrojeń nuklearnych NRF.

Bońscy odwetowcy z niecierpliwością oczekują chwili, kiedy otrzymają do rąk broń nuklearną. Wiemy czym to grozi. Adenauer, który zapowiada, że ustąpi z fotela kanclerskiego najdalej w październiku br. chciałby odejść w zacisze domowe w gorlii człowieka, który zostawił bońską republikę odbudowaną pod każdym względem. Odbudowaną gospodarczo i militarne. Ukrytym marzeniem sędziwego kanclerza jest prowadzenie NRF do nowych sukcesów. Ale dalsze rządy Adenauera i jego kliki — to śmiertelne niebezpieczeństwo dla pokoju w Europie i na całym świecie. Wielokrotnie demonstracyjne wizyty Adenauera w Berlinie zachodnim zawsze powodowały w kilka dni później przeróżne incydenty na granicy Berlina demokratycznego. Chcąc w tym zapalnym punkcie Europy wprowadzić jakiś rozsądny stan faktyczny — Berlin zachodni powinien przestać być ogniskiem, w którym niepodzielnie panują niedawni hitlerowcy pod firmą NATO, a stać się miastem, w którym powiewać będą flagi ONZ. (O.)

K O M U N I K A T

W dniach od 18 do 25.I. Świątowa Rada Kościołów urządza w Kościołach Ekumenicznych Tydzień Modlitwy. W ramach tego Tygodnia w piątek 25.I. o godz. 18.00, odbędzie się nabożeństwo w prokatedrze Kościoła Polskokatolickiego w Warszawie, przy ul. Szwolężerów 4.

ENCYKLIKA, KTÓRA POTĘPIŁA POWSTANIE STYCZNIOWE

Patriotyzm Polaków i cześć ich dla przyszości Ojczyzny, to czynniki, z którymi liczy się każdy, albo kto chce zdobyć ich serca dla swej ideologii. Liczy się z tym Kościół Rzymskokatolicki w Polsce i stąd wokół drobnych nawet odruchów sympatii papieżstwa dla Polski czyni wiele propagandy czy zwykłego szumu, pamiętając, że dla katolików w Polsce — jak powiedział jeden z papieskich nuncjuszów — większą podobno wartość przedstawiają pochlebne słowa niż konkretne czyny¹⁾. Natomiast wyraźnie niekorzystne dla Polski czyni Kurii rzymskiej episkopat rzymskokatolicki w Polsce ze zrozumiałych względów stara się zataić, pomniejszyć lub wręcz im zaprzeczyć wbrew prawdzie historycznej.

Jednym z przykładów wypaczania historii jest zaprzeczanie, jakoby papież Pius IX potępił powstanie styczniowe. Wiadomo, że „stało się to za pomocą encykliki „Ubi urbaniano” z 30 lipca 1864, lecz taki „Tygodnik Powszechny” wprost śmie twierdzić, że żadnej encykliki nie było, był co najwyżej jakiś „list” i to też nie na pewno²⁾.

A tymczasem encyklika „Ubi urbaniano” istnieje. Można ją przeczytać w watykańskich „Esposizioni documentata sulle constanti cure del S. P. Pio IX a riparo dei mali che soffre la chiesa Cattolica nei domini di Russia e Polonia”, Roma 1866, Documenti nr L XXXI, s. 237—241. Po polsku wydał ją najpierw rzymskokatolicki ks. A. Prusinowski w „Tygodniku Katolickim”, nr 40 z 30 września 1864, a następnie rzymskokatolicki, ks. J. Pelczar w traktacie pt. „Pius IX a Polska”. Miejsce Piastowe 1914, s. 349 nn. Dodajmy, że popularny powieściopisarz polski J. I. Kraszewski, ogłosił ją w Dreźnie w tysiącu egzemplarzy zawierających oryginalny tekst łaciński i tłumaczenie polskie.

Dokument ten nie był jakimś prywatnym „listem”, jak chce Tygodnik Powszechny, lecz właśnie „Encykliką do biskupów w Rosji i w Polsce”. Potwierdza to jej tekst, gdzie m. in. czytamy: „I dlatego piszemy do Was niniejszą encyklikę...”



Każdy Polak powinien znać treść encykliki „Ubi urbaniano”. Byłoby wskazane znowu ją wydrukować w całości zwłaszcza dlatego, że niektóre czynniki starają się ją zbagatelizować.

Dla zorientowania czytelnika podajemy jeden jej fragment, poprzedzony uzalenianiem się papieża Piusa IX nad przykrą sytuacją — nie Polski — lecz Kościoła Rzymskokatolickiego pod zaborem carskim.

Cytujemy: „Wszelako, Czcigodni Bracia... dalecy jesteście od tego, byśmy w jakikolwiek sposób mieli pochwalać nierozważne rozruchy, nieszcześliwie wzniecone w Polsce. Wszyscy bowiem wiedzą, jak troskliwie Kościół katolicki zawsze wpał i uczył, że wszelka istota jest wyższym mocom poddana, że wszyscy władzy świeckiej podlegają i że na-

leżne posłuszeństwo okazywać w ogóle mają w tym wszystkim, co się Bogu i prawom Jego Kościoła nie sprzeciwia. Zresztą boleć nad tym wielce należy, że owe ruchy rządów rosyjskiemu daly powód do coraz dotkliwszego nekania i uciskania Kościoła. Gdy jednak ruchy tego rodzaju, tak zębne dla Kościoła i państwa, k a r c i m y i p o t ę p i a m y (podkr. moje) nie możemy pominąć sposobności, byśmy z całą powagą nie przywiedli na pamięć wszystkim największym zwierzchnikom narodów, iżby w młarę swych możliwości wszelkich dołożyli starań, by na nich nie spadł ciężar mądrości Bożej...”

Rządowi carskiemu słowa te wydały się jeszcze za słabe, czemu dał wyraz przy odpowiedzi na prośbę papieża Piusa IX, by zezwolono biskupom z zaboru rosyjskiego udać się na I Sobór Watykański w 1869 r. Na zarzut cara, że encyklika „Ubi urbaniano” nie potępiła powstania styczniowego wystarczająco mocno, Watykan uprzejmie wyjaśnił, że car się myli, ponieważ „Stolica Święta zawsze ganiła i gani wyraźnie ruchy polityczne, które od czasu do czasu wstrząsają narodami”. Papież przekonywał cara, że „ilekroć okoliczności na to pozwalały” potępił, jak i teraz „potępia każdego, kto usprawiedliwia bunt przeciw swemu panującemu”.³⁾

Ten komentarz samej „Stolicy Apostolskiej” powinien wystarczyć, a publicyści i historycy rzymskokatolicy winni go ze złości przyjąć, jako najbardziej autorytatywne określenie stosunku Watykanu do powstania styczniowego.

Ks. dr S. WŁODARSKI

¹⁾ Patrz Raport nuncjusza Saluzzo z 1780 r. w pracy M. Loreta pt. Watykan a Polska w dobie rozbiorów. Przegląd Współczesny Kraków 1934. s. 354. Nuncjusz podkreślił, że Polacy lubują się w otrzymywaniu „poehwał i hojnych łask duchowych”.

²⁾ Tygodnik Powszechny z 17 grudnia 1961 w Korespond. „Ojca Malachiasza”.

³⁾ Patrz Ks. A. Boudon S. J., Stolica Święta a Rosja. Kraków 1930. s. 406.

KSIAZDZ GENERAL STANISŁAW BRZÓSKA ostatni powstaniec 1863 roku

Na męczeńskiej ziemi podlaskiej, we wsi Dokudów w r. 1834 urodził się w rodzinie Marcelgo i Karoliny Brzószków chłopiec, któremu na chrzcie św. dano imię — Stanisław. Po nadejściu lat i odpowiednim przygotowaniu młody Stasio uczył się w gimnazjum w Białej Podlaskiej, a później w Siedlcach. W siedemnastym roku życia rozpoczął studia uniwersyteckie w Kijowie, które przerwał po dwóch i pół latach nauki i powrócił do rodzinnego Dokudowa. W niedługim czasie po powrocie wstąpił do seminarium duchownego w Janowie Podlaskim, a w roku 1857 otrzymał święcenia kapłańskie. Wikarym był najpierw w Sokołowie Podlaskim, a później w Lukowie.

Ksiądz Stanisław Brzóska miał serce gorące i wrażliwe na niedolę ludu prostego i Ojczyzny naszej. Kazania jego i praca duszpasterska zjednywały mu miłość głęboką wiernych i cześć, dla słowa pięknego i czynów sprawiedliwych. Nie dziwota więc, że po jednym, z wielu patriotycznych kazań, wygłoszonym w dniu 10 listopada 1860 roku — został aresztowany. Wyrok rosyjskiego sądu wojennego skazywał go wówczas na dwa lata twierdzy. Każdą odbywał w ponurej cytadeli zamojskiej, słynnej z męczeństwa w niej bohatera z powstania listopadowego, majora Waleriana Łukasieńskiego.

Kazamaty tej twierdzy nie skruszyły ducha, ani nie zastraszyły męznego wikarego, bo po zwolnieniu z więzienia i powrocie do Lukowa, przyjął godność

i funkcję Naczelnika Cywilnego Powiatu, powierzoną mu przez Komitet Centralny z Warszawy.

Była to wysoka godność i oznaka wielkiego zaufania dla młodego księdza wikarego, okazana przez prezydium Komitetu Centralnego, ówczesną konspiracyjną władzę polską. Godnie reprezentował tę władzę ksiądz Naczelnik, przygotowując powiat do rychłego już wybuchu powstania. Praca jego była odpowiedzialna i wyczerpująca. Wymagająca czujności, rozważli i stanowczości decyzji. I tak w atmosferze gorącego wyczekiwania niezwykłości jakiegś, nadszedł dzień 22 stycznia 1863 roku.

Powstanie rozgorzało.

Ksiądz Stanisław na czele oddziałów powstańczych opanował Luków, wypędzając z miasta wojska zaborcze. Wobec przeważających jednak sił wroga musiał opuścić Luków i wtedy połączył się z oddziałem Lewandowskiego, a później — Romana Rogińskiego. Naczelnika Powstania na Podlasie. Walki były krwawe i wyniszczające powstańców, bo rozpoczęte zimą. Ksiądz Brzóska był nie tylko dowódcą, ale i kapłanem, niosącym słowa otuchy i pokrzepienia rannym w walkach powstańcom. Walczył on z Moskalami w wielu potyczkach, a w większych bitwach uczestniczył między innymi pod Woskrzenicami i pod Staninem, gdzie został ranny. Stoczył on dziesiątki potyczek, przeprowadził wiele dziesiątków akcji

dywersyjno-partyzanckich. Był wspaniałym człowiekiem, troskliwym dowódcą i doskonałym partyzantem. Z przyczyn tych wzbudzał szczególną nienawiść przeciwko sobie, tropiącym go wściekle carskich oficerów, Kozaków i szpicliów. Jeśli wróg jak najbardziej nienawidził walczącego z nim księdza-powstańca, to za to przez prawie dwa i pół roku swej brawurowej i szaleńczej walki spotykał się on z uwielbieniem i pomocą szczególnie prostego ludu podlaskiego. Otaczano go powszechną życzliwością i szczerą miłością. W każdej chacie wieśniaczej spotykał dłoń pomocną, znajdował przytułek i schronienie. W każdej wsi dawano ochotnie jego oddziałowi zaopatrzenie i przewodnika. Wśród ludu był postacią bohaterką, walczącą o poprawę jego losu i obronę jego wiary. Stawał się postacią przeradzającą się w legendę.

Chytry wróg spostrzegł to i zażądał od biskupa podlaskiego ekskomunikacji na księdza Brzóske. Oczywiście, że tchórzliwy biskup, posłuszne narzędzie cara i Watykanu, ekskomunikował i wyklął bohaterskiego wikarego, który przez tajny Rząd Narodowy był na długo przed tym mianowany naczelnym kapłanem i generałem wojsk narodowych. Oprócz wyklęcia księdza Brzóske, biskup polecił rozgłosić z ambon swoją decyzję i wieść, że były wikary z Lukowa — ks. Stanisław Brzóska jest zwykłym bandytą. Pomimo rozsiewania o nim tej podłości walczył on o Polskę

Dobranoc dziewczęta! — powiedział głośno kierownik internatu i zgasił światło. Przez okienne zastony sączyła się jasna poświata księżycowa wzbudzając w sercach mieszane, dziwne nieokreślone uczucia tęsknoty za romantycznym marzeniem. Dziewczęta trajkotały półszepcąc czasem któraś parsknęła krótkim śmiechem wesoło dowiecpiując, dla Mietki obojętna była reakcja jej otoczenia — wsparła głowę ozdobioną zwojami ciemnych włosów o poduszkę, przymknęła oczy bezwolnie poddając się marzeniom. Za rok skończy technikum rolnicze, pójdzie z dyplomem w świat, w krąg nowych ludzi i zdarzeń; w rodzinnej wiejskiej zagrodzie będą mówili o niej lub wspominali z szacunkiem i miłością: — Oho, nasza Mietka ma głowę do nauki, pracuje już na samodzielnym stanowisku. A Mietka po staremu, będzie odwiedzała od czasu do czasu rodziców i krewnych — opowiadała im o nowych rodzajach kultur zbożowych, doradzała fachowo w najrozmaitszych sprawach gospodarczych. Plany te były na tyle realne i możliwe do spełnienia, że wprost aż nieciekawe. Zarobki, dalsze studia, atrakcyjna posiadłość — wszystko to było w porównaniu z jego serdecznym uśmiechem, z harmonijnymi rysami jego twarzy i wysoką dobrze zbudowaną sylwetką sportowca. Wszedł w jej dotychczas spokojne, jednostajne życie trochę niespodziewanie i wniósł ze sobą od razu falę gorącego uczucia. Od tej chwili ścigała każde jego spojrzenie, chodziła niemal za nim jak cień i z lubością wpatrywała się w jego jasnobłękitne duże oczy. Prowadzone przez niego lekcje wf. i pw. były dla niej najmiłsze i niezapomniane. „Kiedy serce porywa słodkie zachwycanie, usta się spotykają, oko ginie w oku, iza ze iza i z westchnieniem miesza się westchnienie” — płały się teraz w pamięci fragmenty mickiewiczowskiego sonetu. W sypialni panowała już cisza, koleżanki spały tylko księżyc przebijając się przez chmury ploszył sen z oczu Mietki. Sięgnęła po długopis: „Niezapomniany Panie Profesorze! Czy nie przeskakdam czasem — ledwie tajone uczucie dyktowało słowa pisane drżącą dziewczęcą ręką — bo może oczy moje i słowa nigdy nie będą miały zaufania w tych oczach, które widziały jak szły do mnie w sennym marzeniu. Gdy to się stanie ciężko mi będzie żyć... Panie Profesorze, ja nie kła-

mę — pisała w skupieniu — mówię prawdę w oczy, bo kłamstwo początkowo małeńkie jak ziarno maku potem rośnie duże jak słoń. W życiu przed sobą miałam jedyny cel — naukę, ale świat idzie w postępie i zdaje mi się, że ja się też zmieniałam. Nie znalazłam nikogo z odmienną płcią, ale rozumiałam przez obserwację otoczenia w jakim się znajdowałam co daje dziś z tym, jutro z innym dla rozrywki pójść do kina czy kawiarni”. Nie mogąc patrzeć na to tym bardziej, że rodzice od małości wszczepili mi mówić prawdę, nie oszukiwać nikogo. Myślałam tylko sobie, że przyjdzie chyba kiedyś czas — na chwilę w zamyśleniu odłożyła długopis i bezszelestnie wyrwała nową kartkę z zeszytu — że muszę spotkać człowieka, którego prawdziwie pokocham — zawahała się, do profesora takie brednie; chciała podrzeć list, ale nie mogła zadawać gwałtu własnemu uczuciu, które drażyło serce: „Tym ukochanym człowiekiem jest dla mnie Pan Profesor. Na lekcjach i na praktykach rolniczych widziałam tylko te błękitne, piękne oczy Nieznośne lecz kochające szczerze i prawdziwie Mietkę”.

Znalazł ten list w kieszeni płaszcza. Czytał go po kilka razy potem schował do portfela. W pierwszym odruchu zamierzał oddać go kierownikowi internatu, porozmawiać o Mietce na Radzie Pedagogicznej; wiedział przecież o niej, że miała na okres kilka dni. Postanowił w końcu sprawę przemyśleć samotnie: — W jego rodzinnej wsi na Rzeszowszczyźnie swatano mu „grzecha” przystojną pannę z posagiem, faktycznie najwięcej podkochiwał się w Władce, była to jednak miłość platoniczna, na odległość. Z Rzeszowszczyzny do Sedziejowic gdzie teraz wykładał droga była daleka; w samych Sedziejowicach życie wiodło się leniwie i ospale, czasem jakaś zabawa z potanówką. Krótki wypadek do pobliskiego Łasku lub Łodzi dla zacerpnięcia „wielkomięskiego stylu życia” poza tym codzienna lektura, zajęcia w technikum, przechadzki z kolegami po wsi. Skłonny więc był zabawić się we flirt z uczennicą pod warunkiem żeby nikt niepowolany o tym się nie dowiedział. Uważnie wpatrywał się w jej zgrabną, masywną figurę na ćwiczeniach wf, prowokował ją zalotnym uśmiechem wszędzie gdzie ją dojrzał: na seansie telewizyjnym w świetlicy, w pracowni szkolnej, na korytarzu. Mietka była tym oszołomiona; skrętnie nosiła swą tajemnicę w sercu, odgadzała się od koleżanek i do późna w wieczór patrzyła w jego okno. Zaniedbywała się w odrabianiu lekcji, nie chodziła nawet na szkolne wieczorki taneczne, bo wiedziała, że tam jego nie spotka. Kilka razy była z nim sam na sam w pracowni. Patrzyli na siebie długo z uwielbieniem, czytali wspólnie liściki miłosne, wymieniały serdeczne uściski chociaż niekiedy odczuwała jego kłopotli-

ICH WIELKI DRAMAT

we zażenowanie. Zasypywała go jednak listami, w których biło jej szczerze kochające serce: „Kochany Józku! Raz tylko sięgnęłam po zrzębek miłości i teraz jej nie odruczę chyba odejście sama, ale drugi raz kogoś pokochać będzie dla mnie raczej niemożliwe. Dziwnie pojęłam słowo „miłość” bo jeśli kogoś kocham tzn. jestem dla niego szczerą, wierzę nawet w to, co może nie jest prawdą i dlatego często u mnie występuje moment obawy i zazdrości o Ciebie. Nie chciałabym żebyś jak Bogumił w „Dniach i Nocach” Dąbrowskiej kochał mnie z litości, o nigdy! Na pewno o tym nie pomyślałeś”. Józek obawiał się stracić posiadłość z romansu z uczennicą. Z drugiej strony przytłaczała go nuda wiejskiego żywota. Ostatecznie chwilowe wahania ustępowały miejsca żądzy miłosnych flirtów, raczej dla rozrywki i zabicia czasu. Kiedyś Mietka gęsto tłumaczyła się przed matką z otrzymanych dwój zwierzyla się jej ze swego uczucia do Józka. Matka spojrziała na nią trochę zdziwionym wzrokiem wreszcie odrzekła: — Po co nim zawracasz sobie głowę, on i tak nie dla Ciebie. Odejechała z domu ze łzami w oczach. W czasie następnego spotkania Józek obiecał, że wstawi się za nią na Radzie Pedagogicznej. Zapraszał do swego pokoju w domu nauczycielskim wtedy odpowiedziała mu rozsądnie: — Krok do Ciebie na górę jest dla mnie równoznaczny z wyrzuceniem z internatu i z trójką ze sprawowania. Zostaw to na okres pomaturalny. Popadał sam z sobą w sprzeczności, zalecał Mietce ostrożność i natarczywie nalegał aby go odwiedzała. W przeddzień świąt postanowiła zaryzykować. Wypisała się z internatu pod pretekstem, że jedzie do domu, faktycznie poszła na wiejską zabawę, Józek także był na niej. Wspólnie pili wino i tańczyli w oparach alkoholu. Teraz pójdziesz do mnie? — Skinęła głową na znak zgody. W jego pokoju było przyjemnie i schludnie. Z eteru płynęła jakaś tęskna melodia, obejmował ją czule i częstował cukierkami. Gdy naraz rozległo się pukanie do drzwi i głos kierownika internatu: — Proszę otworzyć. Wtem z kim kolega jest. Widziałem Was na zabawie. Oboje na chwilę zdrętwieli i zaniemowili — Co? Nie otworzy kolega? Sprowadź miłocje. Czyjs niskliwy dyszkanct wtrówał: — To skandal, demoralizacja. Trzeba z tym do dyrektora. Jozkowi drżały ręce, zbliadł lecz opanował się; Za dwadzieścia minut otworzę, proszę czekać na dole. Za chwilę dobiegł rozpaczliwy krzyk Mietki: — Jezus Maria, Józek co robisz? Dyrektor z kierownikiem nie zdążyli: padło dziesięć suchych strzałów z kabakaesu. W parę tygodni potem prokurator powiatowy w Łasku z braku dowodów winy umorzył śledztwo stwierdzając fakt dokonania zabójstwa Mieczysława S. przez Józefa N., który następnie odebrał sobie życie.

wolną aż do końca kwietnia 1865 roku. Tak długa walka partyzancka mogła być prowadzona tylko dlatego, że ks. Stanisław Brzóska znajdował poparcie nie tylko szlachty, ale i ludu wiejskiego i miejskiego ziemi podlaskiej.

Oddział powstańczy ks. Brzóska najdłużej ukrywał się na wyspie, pośród bagniska w lasach Jackich. Ta baza wypadawa znajdowała się w gminie Grzędówka, powiatu łukowskiego. Wreszcie kompanie wojsk carskich „zdobyły” dnia 19.X.1864 r. arsenał i gniazdo powstańcze, lecz... powstańców nie było tu. Ksiądz Brzóska znów znikł tajemniczo pośród ostępów leśnych. Zawzięte jednak ściganie i stałe potyczki wykruszały oddział i do walki coraz mniej pozostawało ludzi spośród czterdziestu powstańczych strażników.

Wreszcie dnia 29 grudnia 1864 roku otoczono ks. Brzóska wraz z czterema towarzyszami w Zaścianku Przewuskim, w pow. łukowskim, gdzie w zagrodzie Adama Przewuskiego wypoczywali zmęczeni powstańcy. W czasie rewizji zagrody rozgorzała walka pomiędzy ściganymi Polakami a licznymi Kozakami. W walce tej poległo dwóch powstańców a dwóm innym wraz z ks. Brzóska udało się przebić przez otaczających żołnierzy rosyjskich i uciec do lasu. Ostatnim terenem schronienia były okolice powiatu sokołowskiego. Z zaścianku Sypiszki, w którym przebywał, wysłał do miasteczka Kałuszyna zaufanego posłańca,

który u wdowy Mikulskiej, pocztmistrzyni, miał odebrać ukrytą broń powstańczą. Lecz niestety Mikulska broń nie oddała, a jeszcze do tego syn jej Leopold Mikulski wydał Moskałom wysłannika ks. Brzóska. I już dalej zwykłymi metodami żandarmów rosyjskich i torturami dowiedziano się gdzie znajduje się poszukiwany komendant ostatniego polskiego oddziału powstańczego.

Dnia 29 kwietnia 1865 roku, niespodziewanie zajęli Kozacy do zaścianka Sypiszki przed dom sołtysa Bielińskiego. Powitały ich strzały. To strzelała ks. Stanisław Brzóska i jego adiutant — Wilczyński. Obrona nie udała się i zranionego ks. Brzóska i Wilczyńskiego pojmano. Pojmanych skazano na śmierć i dwóch tych męczenników sprawy narodowej w dniu 24 maja 1865 roku o godzinie 11, powieszono na rynku w Sokołowie Podlaskim.

Ciało księdza Stanisława Brzóska — naczelnego kapelana powstańczego i generała wojsk narodowych, zakopali Moskale w fosie twierdzy brzeskiej.

...Ani jedna ambona rzymskiego kościoła nie odezwała się słowem protestu, czci lub żalu za kapłanem — męczennikiem. Jeny niemy jęk rozpaczcy i paląca ogniem iza dwudziestotysięcznego tłumu na rynku sokołowskim — były świadkami i towarzyszami śmierci ostatnich dwóch powstańców.

Dami.

Rozmawiałem na ten temat z miejscową ludnością i nauczycielami. Głosy były podzielone. Niektórzy ostro piętnowali niewłaściwe postępowanie kierownika internatu, inni chwaliли go i uważali za obrońcę moralności. Koleżanki Mietki mówiły, że była ona w swojej miłości do profesora wręcz natarczywa, rzekomo chciała się z nim żenić po żniwach, koledzy Józka wytykali słabość jego charakteru i niezdecydowanie. Mieli mu za złe, że narażał na szwank ich autorytet, poderwał zaufanie i szacunek młodzieży. W ich przekonaniu nauczyciel powinien być odpowiedzialnym wychowawcą młodzieży, świecić jej przykładem w życiu codziennym i nie bawić się tak jak Józef w amory z uczennicą w dodatku niemal na oczach najbliższego otoczenia. Wtyd, obawa przed konsekwencjami, swoista bezradność pchnęły do zbrodni i samobójstwa.

W tych wypowiedziach na pewno jest wiele słuszności chociaż w ostatniej instancji nie ludzie lecz Bóg będzie sądził czyny ich dwójga. On Jeden mocen jest rozwikłać zagadkę ich wielkiego dramatu i „odać każdemu z nich co mu się należy”.

Fr. OSZMIANSKI

Snieg i elkitra (po grecku: sanki) to rzeczy raczej mniej znane synom słonecznej Hellady, jednak w Polsce obowiązuje.



Grecka wieś i stroje to coś nowego i egzotycznego w polskim folklorze.

A dzieci macedońskie, tak samo jak i polskie są zawsze wesole.



U POLSKICH HELLENÓW

To były już Bieszczady. Zostawiłem u sołtysa samochód, bo dalej nie było już drogi. Z kamerą i aparatem fotograficznym poszedłem na poszukiwanie celu swojej podróży — rysia.

„Ostatnie rysie w Bieszczadach...” — informował jeden z centralnych dzienników. Więc żeby nie było za późno, skoro to już ostatnie pojechałem na poszukiwanie rysiego gatunku.

KOTANIDYS — ZAMIAST RYSIA

Po trzech dniach łażenia po górach, jedzenia góralskiego chleba i spania w zimnych chałupach na słomie w butach i kozuchu, wyszedłem czwartego dnia na asfaltową szosę. Sądziłem, że to na pewno stary trakt z Cisnej do Ustrzyk.

Mijając stada owiec i baranów stojące przy nędznych domostwach spotkałem idącego naprzeciw mężczyznę.

— Co to za wioska proszę pana — zapytałem go.

— A czego szukasz? — odpowiedział pytaniem.

— No, ja właściwie szukam rysia, ale... Co to za wioska?

— Rysi... — powtórzył. Nie wiedzieć co to jest rysia. Może chcesz kupić obraz. Mam pejzaże greckie, linkszafty włoskie a i portret mogę ci zaraz zrobić.

— Mój kochany — odparłem, godząc się na tę koleżeńską formę — ale jak ty tu, w Bieszczadach malujesz włoskie landszafty i greckie pejzaże?

— Ja jestem Grekiem i ta cała wioska być grecka. To ty nie wiesz o tym?

— A jak ty się nazywasz? — pytałem z ciekawioną.

— Kotanidys Alekos, malarz z Peloponezu — odparł dumnie i zaczął znowu namawiać mnie na kupno swoich obrazów. Na temat wioski milczał uparcie.

— Idź do gospody, tam się dowiesz — powiedział i nie widząc we mnie klienta odszedł.

PIPERIES — ZNACZY PAPRYKA

Na skraju wsi znalazłem wreszcie gospodę. Mieściła się w nieprawdopodobnie brudnej i zagrzybionej chałupie. Ale nie to było



ważne. Przy barze bowiem tłoczyło się kilkunastu Atanasów, Popadopoulosów, Kariofilisów i jeszcze kilku innych najautentyczniejszych Greków, z południowym temperamentem prowadzących rozmowę w najautentyczniejszej grece.

Niech lingwiści, księża, tłumacze i inni grekoznawcy, przyjeżdżają do tej wioski na praktyczną lekcję greckiego.

Gruby mahiras (kucharz) stawiając na stole talerz dymiącej piperies (papryki) po grecku, tj. w sosie z cytryny i oleju, informował mnie o tej dziwnej wiosce.

Nazywa się Krościenko (koło Ustrzyk Dolnych) i jest zamieszkała przez ponad tysiąc Greków. Gospodarzą indywidualnie. Obok tego są zrzeszeni w spółdzielni produkcyjnej, gdzie z okolicznych lasów przerabiają drzewo na potrzeby całego powiatu.

Jak im się powodzi?

Pod koniec roku z rozliczenia na każdego

Jak wam się podobam? — pyta Atanas Michelos w stroju macedońskiego pasterza.



członka spółdzielni przypada po kilkadziesiąt tysięcy złotych.

Czy tęsknią za Grecją?

Mówią, że tylko niewielu i ci aby być bliżej ojczyzny przenoszą się do cieplejszej Bułgarii. Mimo 15 lat pobytu na polskiej ziemi starzy Grecy nie czują się tu jeszcze naprawdę zadowoleni.

Folklor i tradycje pozostały raczej w Grecji. Tylko nieliczne stroje, narodowe przyspiewki macedońskie (większość tu Macedończyków) i grecka mowa, świadczą, że wioska ta nie jest zamieszkała przez Polaków.

Wyjeżdżając z Krościenka nawet i nie żałowałem, że nie udało mi się spotkać ostatnich rysi w Bieszczadach. Nie żałowałem tym bardziej, że spotkałem tutaj istotę co miała ni mniej, ni więcej tylko... rysie oczy. Nazywa się Desphina Dzedzi, ma 16 lat i lubi polskie piosenki.

Tekst i foto: M. DASZKIEWICZ

Wiejska świetlica ludowa w Krościenku nosi imię Nikosa Bełojanisa.



TWÓJ DZIEŃ POWSZEDNI

Powracasz z pracy. Czy pogodny
Był nastrój dnia, czy też zmęczenie
Odczuwasz, spiesząc do przystanku,
Wieczór udzieli ci wytchnienia,
Nim zgaśnie noc tchnieniem
poranku.

I ten sam widok z twego okna:
Ulica, drzewa rozszumione.
Niekiedy w szarym deszczu mokną
Nad drogą niewiadomych spotkań...

Przyływ znużenia obok pracy
Szarej domowej i codziennej.
Gdy spoza domu z pracy wracasz
W ten sam nurt spraw od lat
niezmienny.
Takie już wspólne sprawy nasze.

Mruczy usypiająco czajnik.
W oknach kamienic pierwsze
światła
Twój dzień — jak co dzień, dzień
zwyczajny
Przemija jako blask obłoku,
A bilans życia nasz niełatwy.

Dobrze gdy uśmiech i gdy zdrowie.
Dobrze gdy uśmiech szczery dziecka
I kiedy serce z sercem w zmowie
I kiedy miłość w nim zamieszka.
Czy tak nie bywa w życiu? Powiedz.

I tak jak zwykle, beret, płaszczyk.
Torebka, kolorowy szalik.
W radiu piosenka: „miła zaśniej”.
Wiatr szumi w drzewach, noc
w oddali
Gwiazda nim spadnie, w mrokach
zgaśnie.

Nie trwóż się przeciwnościom losu.
Niełatwe życie, nie mniej piękne
Jak róży kwiat pod letnią rosą.
Ten wzywa noc, co dnia się lęka
Choć dzwony wiarę w życie głoszą

Nie jesteś sama. Dziś poeci
W swych celnych strofach głoszą
chwale
Kobiecy pracującej w świecie
W pieśniach o rymach doskonałych.
Wierszy się uczą dla was dzieci

Twój dzień powszedni noc zamyka
Szeptany pacierz na dobranoc.
Gwiazdy i drzewa wiatr muzyka
Dobranoc, nim się zbudzisz rano
Błogosławionaś nocy cicha

...Różany świt. Pierzchnęły uroki
Zadzwieczał tramwaj. Więc dzień
dobry

I pracy dobrej i uroku
Życia, szczęścia uśmiechów
szczodrych —
Dzień dobry w wspólnym rytmie
kroków.

JÓZEF BARANOWSKI



**Promotor Ks. Biskup
Prymas Doc. Dr M. Rode**

**Promotor legitime con-
stitutus Ks. Biskup Doc.
Dr Maksymilian Rode,
Prymas Kościoła Pol-
skokatolickiego odczy-
tuje akt promocji**

**Nowo promowany doktor
podpisuje akt przysięgi**



Nowo promowany doktor św. teologii — ks. Jan Matuszyński



VIVAT DOCTOR!

5 grudnia 1962 r. był niewątpliwie dniem w całym tego słowa znaczeniu radosnym: radosnym dla Sekcji Teologii Starokatolickiej ChAT, radosnym dla Kościoła Polskokatolickiego, radosnym dla księdza Jana Małuszyńskiego.

Tego bowiem dnia ks. Małuszyński uwieńczył swą pracę naukową promocją doktorską. Trudna była owa praca i po wielokroć razy przerywana bądź przez powstanie warszawskie, bądź też przez inne nieodwracalne przyczyny i racje. Jednak ks. Małuszyński nie załamał się, z obranej drogi wdzięcznych, chociaż skomplikowanych badań filozoficznych nie zawróciła go ani śmierć dobrego filozofa ks. prof. Jana Salamuchy, kontynuatora myśli ks. prof. Konstantego Michalskiego, ani piętrzące się trudności tuż przed magisterium na Wydziale Filozofii KUL. Praca podejmowana wciąż na nowo z uporem godnym naukowca przyprowadziła w 1958 r. ks. Małuszyńskiego do Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, gdzie rozpoczął jeszcze raz pracę zarówno naukową jak i dydaktyczną przy Katedrze Teologii Starokatolickiej oraz przy katedrze współczesnych kierunków społecznych i filozoficznych.

Tutaj, w ChAT rozpoczął ks. Małuszyński przed dwoma laty opracowanie tezy doktorskiej pt. „Osobowość psychiczna Chrystusa — studium filozoficzno-teologiczne” pod kierunkiem Ks. Bpa Doc. Dra Maksymiliana Rodego, Prymasa Kościoła Polskokatolickiego. Praca została wysoko oceniona, a ks. Małuszyński po złożeniu przepisanej rygorozum otrzymał uchwałą Rady Wydziału ChAT w dniu 29 listopada 1962 r. zaszczytny, ale zasłużony i zapracowany tytuł doktora.

W obecności Senatu i Rady Wydziału ChAT, kolegów i licznie zgromadzonej studiującej młodzieży wszystkich Sekcji ChAT, promotor, Ks. Bp Doc. Dr M. Rode odebrał od nowo kreowanego Doktora uroczyste przyrzeczenie i odczytał akt promocji. Nad wyraz serdecznie, po kapłańsku i po przyjacielsku powitał Dostojny Promotor nowego Doktora w Uczelni i w Kościele, uznając tę uroczystą chwilę za jeden z dowodów umiłowania przez Kościół Polskokatolicki nauki i prawdy, którą przy pomocy śmiałych kapłanów pragnie szerzyć wśród społeczeństwa polskiego.

Podniosłe słowa śpiewanych hymnów, harmonia tonów, wdzięk licznych wiązank kwiatów i radośnie uśmiechnięte twarze Członków Grona Profesorskiego, zaproszonych Gości i Młodzieży mówiły wymowniej od słów o uczuciach radości i o życzeniach jakie towarzyszyły i towarzyszą Ks. Doktorowi Janowi Małuszyńskiemu ad plurimos annos.

* * *

Dnia 6 grudnia 1962 r. odbyła się następna promocja doktorska ks. Jerzego Klingera, adiunkta na Sekcji Teologii Prawosławnej ChAT. Promotorem był J. M. Ks. Prof. Dr Wiktor Niemczyk, Rektor ChAT.

Ogólny widok sali



Nowo promowanemu doktorowi życzenia złożyli księża, panowie profesorowie, studenci, alumnii (zdjęcie górne i dolne)



Promotor Ks. prof. dr Wiktor Niemczyk odczytuje sponcio solemnne i akt promocji doktorskiej ks. J. Klingera (zdjęcie górne). Przemówienie nowo kreowanego doktora ks. Jerzego Klingera (zdjęcie dolne)





CZY TYLKO CHULIGAŃSTWO?

Kiedy ten reportaż się ukaże, prawdopodobnie będzie już po wszystkim: Stanisław Baranowski zostanie skazany, a rodzina Karola Gniadosza przyzwyczają się do myśli, iż jej młody krewniak, dobrze zapowiadający się, ogólnie lubiany i ceniony pracownik i członek zarządu gminnej spółdzielni, nie powróci już do swych obowiązków. Ponieważ zakładam, że szczegóły sprawy znane będą opinii publicznej z toku rozprawy, przypomnę niektóre fakty: 9 maja 1962 r. w obejściu Zygmunta Napiórkowskiego we wsi Sieluń, pow. Maków, znaleziono zwłoki Karola Gniadosza, zamieszkałego we wsi Ogony, którego dnia poprzedniego widziano na odpuscie. Wstrząs i zdumienie były powszechne, bo Gniadosz, jak już wspominałem — cieszył się ogólną sympatią jako człowiek porządny; wiadano też, że był on spokojnej natury i unikał zwady z kimkolwiek. Dochodzenia były żmudne, świadków brak, lecz wkrótce zaczęła krążyć uparta wieść, że mordercą jest Stanisław Baranowski, chłop ze wsi Gerwaty, pow. Maków, lat 38, żonaty i dzieciaty. Prokuratura powiatowa i KPMO w Makowie, wkrótce mogły zakończyć dochodzenie. Baranowski został zatrzymany, usiłował kręcić, przyparty jednak do muru, załamał się na widok noża, którym dokonał zabójstwa. Zbrodnia ta, choć pospolita, dała ludziom do myślenia, zważywszy, że Baranowski nie znał Gniadosza, bodajże, iż nie widział nigdy jego twarzy, nawet w momencie kiedy go zabijał; Baranowski więc nie mógł mieć z nim i nie miał żadnych porachunków.

Baranowski nie napadł Gniadosza w czasie odpustowej zabawy, ani zaraz po niej, ale później na skrzyżowaniu dróg: przy czym mijał Gniadosz Baranowskiego i Zalewskiego (jednego naocznego świadka zbrodni) z daleka — Baranowski go dostrzegł, zawrócił, popędził za nim i zaatakował bez wstępów.

Na chwilę przed napadem Baranowski porzucił nożem bębny muzykantowi Głazewskiemu z Ogonów.

Baranowski nie był krytycznego dnia — jak to mówią prawnicy — poważnie pijany.

Zdolność Baranowskiego — w myśl oświadczeń, którzy go badali „do rozumienia znaczenia swojego działania, jak również do kierowania swoim postępowaniem tempore criminis nie była zniesiona ani ograniczona w stopniu znacznym...”

A więc — zabójstwo tak sobie — dla żraki, bez motywu, sadysta, degenerat, zwyrodnialec?...

ZEMSTA TO JEST ZA COŚ

Badany przez psychiatrów Baranowski, na pytanie: „Co to jest zemsta?” — odpowiedział: „Zemsta to jest za coś”.

Mówi świadek Zalewski: „Baranowski dobiegł do osobnika dlatego, że myślał, iż jest to sieluniak. Baranowski miał złość do chłopaków z Sielunia za to, że ci w czasie odpustu w zeszłym roku pobili jego brata”.

A więc „zemsta to jest za coś”. W imię zemsty St. Baranowski porzucił najpierw bęben, a potem zabił człowieka, o którym myślał, że jest z Sielunia. Fatalna pomyłka? Gniadosz pochodził z sąsiedniej wsi Ogony. A więc morderstwo przez pomyłkę; tak, ale nieprzypadkowe. Bo wynikające z niepisanych praw i zasad drzewiejskiego kodeksu chłopskiego, z obyczaju, który nie uznany przez prawo żyje i istnieje i jest często mocniejszy od innych praw, nie tylko w powiecie makowskim, ale i wielu innych regionach Polski.

DWIE FURY NOŻY

Taki wiejski pejzaż: trzech chłopców idzie drogą z Gerwad do Sielunia. Dwóch przodem, jeden z tyłu. Ten trzeci, składanym nożem z białego metalu, marki „Gerlach” — struga sobie gwizdek z drzewa.

Dwie godziny potem tym samym „Gerlachem”, trochę wyszczerbionym na końcu, Stanisław Baranowski zadał trzy rany klute Karolowi Gniadoszowi; kanał jednej rany wynosił 14 cm. Trzech chłopców widzianych na drodze wpisano do akt sprawy jako świadków: Franciszek Mroczkowski, ten co wycinał gwizdek, pożyczyciel noża Stanisławowi Baranowskiemu, właściciel „Gerlacha” był temu przytomny i wyraził zgodę. Czesław Zalewski to koronny świadek sprawy.

Nie pożyczyciel narzędzia koledze, kiedy ten o to prosi na zabawie i to w obcej wsi, gdzie kolega w dodatku ma porachunki? — to byłoby wbrew obyczajom.

Powiedział mi funkcjonariusz MO z posterunku Młynarze — ołoczyć pierwszą lepszą zabawę, na pierwszej lepszej wsi w powiecie, a jeden z nas wszedłby i powiedział: „No — chłopaki, co tam który ma — na podłogę, to tych noży, sprężyn, ciężarków, szpadryn i wszelkiego narzędzia zebrałoby się ze dwie fury”.

Niedawne to czasy, kiedy w tych okolicach matki rodu brały, idąc na zabawę, siekiery lub inne narzędzia w zapaski, a w razie czego wtykały synalkom: „masz, bij!”

Zabicie Gniadosza jest siedemnastym po wojnie morderstwem, jak wyliczyła prokuratura powiatowa, na terenie Sielunia i okolic.

Większość tych zabójstw nastąpiła w trakcie bójek na zabawach, odpustach, jarmarkach — lub w następstwie wynikłych tam porachunków.

W Dyszobabie, na zabawie oporzędno pewnego gościa, był to tylko kontratak, gość szykował się ze swoją kompanią do rozbicia zabawy (tak tu często bywa, że ofiara jest bardziej winna od sprawców). Sprawcy zresztą byli humanitarni, sami odwieźli denata do szpitala. W 1961 r. w Głazewie, bracia Głazewscy zabili kłonicą Feliksa Dziurę za to, że ponoć podorał się pod ich miedzę. Bywają i akcje zmasowane: do takich należała „krwawa Pasterka” anno 1961 w Sieluniu; wybuchła tam wielka bitwa pod kościołem pomiędzy gromadą Sieluń a gromadą Ogony, w wyniku której został zabity robotnik z Warszawy Adam Smerczyński, a teren wokół świątyni: parkany, figury, pompy — przedstawiał obraz zniszczenia. Tło! Jakies porachunki międzygromadzkie, a może tylko sam fakt, że ci z Ogonów przyszli do Sielunia na nabożeństwo. Preteksty zresztą są zbędne, niewymagane przez obyczaj. Bójka jest obrządkiem, częścią artystyczną uroczystości. To nie afekt, to premedytacja. Każdy dobrze zna rejestr dłużników i potrafi cierpliwie czekać okazji. Gdy taka się nadarzy w postaci zabawy czy odpustu, kawaler mazowiecki przybierze się odświętnie, a nóż jest częścią jego przystrojenia, jak krawat. Wódka jest tu źródłem, gra rolę środka pomocniczego. Rytuał ma swoje prawa.

DZIEJE BEZ LAKIERU

„Historia to klucz do przyszłości”. Na zbiorowisku ludzkim, na jego świadomości, dzieje układają się warstwy, jak w ziemskiej skorupie. Region, o którym piszę, też ma swoje dzieje chlubne i mniej chlubne.

Warstwa pierwsza, najświeższa: Ostrołęka blisko, chłopcy ze wsi położonych bliżej szosy jeżdżą na zarobek... „Naród tu biedny, ale „handlowy” — powiedział jeden milicjant, myśląc o suchwałej spekulacji. „Dla nich nie ma żadnych autorytetów” — to stwierdził sekretarz GRN Młynarze, który raz o mało sam nie został pobity. „Miasto, zarobki, pijaństwo, demoralizują” — dodał, a jego zdanie jest przedziwnie zgodne ze zdaniem wielu działaczy, według których bogobojne chłopaki ze wsi, którzy przyszli za robotą do miasta — wpadli w wir zepsucia i schuliganili się.

A może chuligaństwo tutaj — to produkt siedemnastolecia? Zajrzyjmy do następnych warstw: okupacja i zaraz po wojnie. A więc jest chlubna karta partyzancka, z okresu walk z hitlerowcami, a obok — zwyczajny bandytyzm. Konkurencyjne bandy nawet do siebie strzelały. A po wojnie hulali Morawski, Szymański i najsprytniejszy z nich — Głazewiak. Taki bandzior nie miał w sobie nic z Janosika. Nie tylko chłopu zabrał pieniądze i świniaka, ale go jeszcze zmaltretował. Ludzie ich nienawidzili. I odetchnęli, to nie jest frazes, kiedy władze bezpieczeństwa zlikwidowały bandytyzm — ten w sensie rabunkowym. Rzecz ciekawa: dziś należy on w tych stronach do rzadkości, za to pleni się bandytyzm innego typu, bardziej „bezzainteresowny”, który lichy wie dlaczego, nazywamy z uporem maniaka chuligaństwem.

Anastępna warstwa — ta przedwojenna? Sieluń ma bardzo wiele powodów do słusznej dumy, tu, kiedy podniesiono rogatkowe i miara krzywdy się przebrała, chłopci z Ogonów. Dyszobaby, Gerwad i innych okolicznych wsi, poszli z kłonicami na policję: „Powstanie sielunskie...” Wielu wtedy padło w walce.

Ale była i odwrotna strona medalu. Strażnicy po wsiach zawodowe łobuzy, jak niejaki Sacher z Sielunia. Skończył z nim wreszcie Urban z Gerwad, a cała gmina złożyła wtedy petycję, aby władze uniewinnily zabójcę. Snać nie tylko milicja nie mogła sobie poradzić z problemem.

Dość, bo moglibyśmy dojść tak do przadka Piasta. I okazałoby się, że wiele z tamtej obyczajowości — nie tylko dobrej, lecz i złej — pozostało nietknięte do dziś. Stąd wniosek, że religijność rzymskokatolicka w nas to przede wszystkim obrządek, a z etyki niewiele. I że Dekalog nie obowiązuje — w tym piątę przykazanie.

JAN KOCOT

„Od chorób, głodu, ognia, wojny i... alkoholizmu zachowaj nas, Panie!”

Zawsze zaczyna się bardzo niewinnie... od „jednego”. Jasne, że nikt nie pije litrami, dziewięćdziesiąt dziewięć procent pijaków pije kieliszkami i zaczyna się od kieliszka, a nie od kubła. Jednakże mimo tak „niewinnego” początku śmiało rzec można, że nie ma obecnie większej klęski społecznej, że nie epidemie zwane niegdyś „morowym powietrzem”, nie pożary, głód a nawet wojny przynioszą więcej strat, niż alkoholizm.

Zaczyna się od „okazji”, których tradycyjnie jest pięć: imieniny, urodziny, wesele, chrzciny i... wódka. Ta „piąta okazja” jest niestety najczęstsza. A już najbardziej niechrześcijańską tradycją jest wódka na stole świątecznym!

Straty, które ponosi świat z powodu alkoholizmu w żaden sposób nie dadzą się ująć cyfrowo. Ileż rozbitych małżeństw, ileż rozbitych po pijanemu głów, jakie straty w zdrowiu społeczeństw, jakie straty w produkcji przemysłowej czy rolnej, wypadki przy pracy, koszty leczenia w zakładach zamkniętych czy otwartych — to wszystko są straty rządu kilkudziesięciu miliardów dolarów dziennie.

Jeżeli chodzi o spożycie alkoholu w Polsce, to choć spożycie spirytusu nieznacznie spadło, spożycie wina wzrosło katastroficznie: w procentach alkoholu możemy zanotować wyraźny wzrost. Spożycie spirytusu w roku 1960 wyniosło 2,4 litra na głowę, a więc 71,280,000 litrów w całym państwie, co kosztuje 5.702.000.000 zł. Dosłownie: pięć miliardów siedemset dwa miliony złotych!

Spożycie wina wynoszące 4,5 litra na głowę — to 133,650 tysięcy litrów w całym państwie, a cena tego morza przekracza grube dwa miliardy złotych!

Rokrocznie państwo wydaje ponad 1.000.000.000 złotych na skutki alkoholizmu, na leczenie alkoholików. Rokrocznie zapada w sądach około 7.000 wyroków za wybryki pijackie... 334 poradnie przeciwalkoholowe robią co mogą, ratując te resztki człowieczeństwa, jakie się jeszcze w pijakach kołaczą, a liczba tych podopiecznych rośnie: w roku 1959 przepłynęło ich przez poradnie (z różnym wynikiem zresztą) 242.000 a już w pierwszej połowie roku 1960 — aż 153.000 osób...

W dniu 10 grudnia 1959 roku Sejm uchwalili nową ustawę o zwalczaniu alkoholizmu (Dz. Ustaw Nr 69, poz. 434 z r. 1959). Z jej przepisów przytoczymy jedynie te, które mają chronić rodzinę, a w szczególności

dzieci i młodzież przed skutkami alkoholizmu. Ustawa zabrania więc sprzedaży, podawania i spożywania napojów zawierających więcej niż 4,5% alkoholu młodzieży poniżej lat 18. Niedopuszczalne jest też, nawet pod nieobecność młodzieży, urządzenie zabaw połączonych z wyszynkiem w lokalach szkolnych, klubach sportowych, plażach, basenach kąpielowych, w domach kultury i świetlicach.

Skierowanie alkoholika na przymusowe leczenie w zakładzie zamkniętym może być dokonane nie tylko na wniosek poszkodowanych przez niego członków rodziny, ale na wniosek jakiegokolwiek organu władzy czy osoby zainteresowanej do komisji społeczno-lekarskiej, a komisja skierowuje sprawę do sądu, który w ciągu 14 dni od wpłynięcia wniosku sprawę musi rozpatrzyć. Przez okres pobytu alkoholika w zakładzie zamkniętym należne mu wynagrodzenie, zasiłki lub renty wypłaca się do rąk małżonki lub osoby sprawującej władzę nad dziećmi, albo osoby mającej sądownie stwierdzone prawo do alimentów, a w braku tych osób wpłaca się do depozytu zakładu, w którym alkoholik przebywa.

Znęcanie się pijaka nad rodziną przestało, w świetle nowej ustawy być „sprawą rodzinną” i w każdym przypadku otrzymania od kogokolwiek meldunku o takim fakcie — MO lub prokurator przeprowadza sprawę z urzędu bez domagania się wniosku osoby pokrzywdzonej.

Ustawa mobilizuje ponadto szerokie siły społeczne do walki z alkoholizmem. Społeczny Komitet Przeciwalkoholowy uznany został za stowarzyszenie wyższej użyteczności publicznej, a sieć jego oddziałów wojewódzkich i powiatowych obejmuje całą Polskę. Każdy najmniejszy nawet wydział zdrowia rady narodowej, każdy oddział związku zawodowego jest obowiązany współdziałać w walce z tą straszną klęską, która rokrocznie przywala nas wielomiliardowymi stratami, hamując rozbudowę kraju, hamując wszelką produkcję, odbierając zdrowie, rujnując rodziny, powodując tysiące wypadków drogowych, a przede wszystkim przynosząc nam potworny wstyd.

Bo zaczyna się zawsze niewinnie... od „jednego”, ale kończy się klęską jednostki, jego rodziny, klęską środowiska wreszcie, a nie wolno nam dopuścić do tego, aby skończyło się klęską narodu.

HANNA URBANEK

POCZCIWE BAKTERIE

Mówiąc — bakterie — myślimy zwykle o chorobie, bólu, leczeniu. Te pojęcia wydają się nierozdzielne. Utrwaliło się przekonanie, że wszystkie bakterie muszą wywoływać choroby. Przekonanie to jest jednak fałszywe, gdyż od setek lat ludzie wykorzystują bakterie dla swego pożytku. Używa się bakterii dla przygotowywania pokarmów takich jak kwaśne mleko, sery, kiszona kapusta, wino, piwo i wiele innych. Przy ich pomocy fermentuje się nasiona kawy, przerabia len i konopie, stosuje się je przy produkcji octu, tytoniu czy czekolady. Mają tak liczne zastosowanie, że trudno wszystkie wymienić. Gdyby nagle bakterie zniknęły ze świata, choć są tak małe, że chcąc je zobaczyć trzeba co najmniej 1000-krotnego powiększenia, ziemia natychmiast zmieniłaby się w jeden olbrzymi śmietnik, ziemia pokryłaby się martwymi organizmami, odpadkami, śmieciem. Podstawową bowiem funkcją bakterii jest rozkład materii zwierzęcej, roślinnej, nawet mineralnej. Każda „dieta” jest, dla któregoś z gatunków bakterii, dobra. Przy tym „apetyty” mają gorodne. Istnieją bakterie, które w ciągu jednej godziny pochłonąć mogą ilość pokarmu przekraczającą 1000-krotnie ich wagę! Prócz tego dodać trzeba, że rozród bakterii jest bardzo szybki. Pewien gatunek dzieli się już po upływie 15 minut na dalsze osobniki. Wchłaniając pokarm bakteria „trawi” go równocześnie wydzielając pewną ilość energii. I produkty rozkładu i energia wydzielana przy tym mają duże znaczenie. Tak np. bakterie żywiące się zanieczyszczonymi rudami siarki wytwarzają cenny kwas siarkowy. Stosuje się dziś bakterie do „wykopywania” rud. Bakterie odpowiednio hodowane, żywiące się skalami wydobywają z mało wartościowych rud cenne produkty. Prócz siarki przydają się do wydobywania gazu, smoły, produktów naftowych itd.

Mimo wszystko daleko jeszcze do całkowitego wykorzystania „pocziwych bakterii”. Ostatnio dopiero nauka odkryła, że bakterie mogą być potężnym producentem energii. Może w przyszłości będą zaopatrywać w energię ludzkie osiedla w kosmosie. Niektóre bowiem gatunki bakterii wytrzymują nawet takie warunki jakie są na Marsie.

A jaki jest stosunek ilościowy tych pożytecznych bakterii do chorobotwórczych? Według obliczeń jednego z profesorów kanadyjskich jak 30 000 : 1, a więc na jedną bakterię chorobotwórczą mamy wokół siebie 30.000 użytecznych, pocziwych bakterii.

M. A.

Mgłi religijne

PARTYKULARYZM

Co to jest „partykularyzm”? Słownik wyrazów obcych tak objaśnia ten wyraz neolaciniński: „Partykularyzm jest to... popieranie celów osobistych, nieuwzględnianie celów ogólnych, małostkowość”. Partykularyzm więc nie wiąże się z taką lub inną nazwą kościoła. Nie na tym bowiem polega istota rzeczy czy dany kościół jest rzymskokatolicki, ewangelicko-augsburski, ewangelicko-reformowany itd, lecz na tym, czy dany kościół znajduje się w ramach jedności chrześcijańskiej, czy też pozostaje poza tą jednością.

Tak więc termin „partykularyzm” ma za-

stosowanie do każdego kościoła, który żyje w odosobnieniu od innych kościołów.

Partykularyzm Kościoła Rzymskokatolickiego polega na tym, że nie należy on do Światowej Rady Kościołów, że pozostaje z dala od ogólnych celów chrześcijaństwa.

Jezus Chrystus modlił się do Ojca Niebieskiego o jedność wszystkich chrześcijan. Toteż każdy Kościół, stojący na gruncie partykularyzmu — już tym samym znajduje się poza Kościołem Jezusa Chrystusa.

Lech Sądomirski



MODRZEJEWSKA

W USA

(W 54 ROCZNICĘ ŚMIERCI)

Teatr amerykański chlubił się pod koniec dziewiętnastego stulecia plejadą wspaniałych talentów aktorskich. Znaleźli się w niej Amerykanie tacy jak John Drew, Edwin Booth, Richard Mansfield, Maurice Barrymore i Maude Adams, ale występowały tu także gwiazdy scen europejskich — między innymi Sarah Bernhardt, Adelaida Ristori, Eleonora Duse, Tommaso Salvini i Lily Langtry.

W tym również okresie na firmamencie Dalekiego Zachodu, tego wciąż jeszcze Nowego Świata, weszła pewna gwiazda, która jakiś czas przedtem zniknęła z europejskich scen. Helena Modrzejewska, ubóstwiana przez lata aktorka polskich teatrów, wyszła z dobrowolnego ukrycia, żeby zabłysnąć przed publicznością amerykańską.

Helena Modrzejewska! Wkrótce już zabraknie wśród nas ostatnika z pokolenia, które ją uwielbiało. Dla dzisiejszych bywalców teatralnych nazwisko jej zapewne jest nic nie mówiącym dźwiękiem. Ale znawcy teatru wymieniają je w rzędzie największych sław, a w pobliżu ulubionej siedziby artystki, w jej przybranej ojczyźnie, Kalifornii, nazwano szczyt górski jej imieniem.

Heleny Modrzejewskiej nie sprowadziła do Ameryki nadzieja na podbój sceny. W wieku lat dwudziestu ośmiu, mając dożywotni kontrakt z dyrekcją teatru warszawskiego, była już u szczytu artystycznej kariery w Polsce. W całej Europie znano ją jako świetną, wszechstronną i głęboko oddaną sztuce aktorkę. O wielostronności jej talentu świadczą role, którymi zabłysnęła. Kreowała bowiem postacie z dramatów Schillera, Wiktora Hugo, Szekspira, Dumasa, Scribe'a, Ibsena i Słowackiego.

W pełni sławy wyszła za mąż za przedstawiciela arystokracji polskiej Karola Bodzenta Chłapowskiego; salon jej stał się ośrodkiem skupiającym kulturalną i towarzyską elitę Warszawy. Nagle postanowiła porzucić to wszystko i rozpocząć nowe życie. Być może przyczyniły się do tej decyzji intrygi i zazdrości w świecie teatralnym. W każdym razie, wraz z mężem i małą grupą rodaków wyruszyła do kraju, w którym jej nie znano i którego języka nie rozumiała. Nie zamierzała w dodatku osiąść w wielkim, kosmopolitycznym mieście, gdzie mogłaby prowadzić tryb życia podobny do tego, którego się wyrzekła, lecz chciała zamieszkać w surowych warunkach na farmie.

Jako miejsce osiedlenia wybrano Kalifornię, która łagodnym klimatem, żyzną glebą i rozległymi obszarami nęciła ludzi pragnących zacząć życie na nowo. Henryk Sienkiewicz i inni przyjaciele snuli plany założenia wspólnego gospodarstwa rolnego. Garstka tych optymistów wierzyła, że utrzyma się z pracy na roli i że w bliskim obcowaniu z przyrodą znajdzie spokój, nieosiągalny w zgiełku europejskich miast i panującej w tamtejszych środowiskach, rywalizacji. Niedoświadczeni, nie zdawali sobie sprawy z trudności, jakie napotka ich przedsięwzięcie w tej nie zagospodarowanej jeszcze krainie.

Próba zawiodła nadzieje. Po kilku miesiącach wyczerpały się zasoby pieniężne. Zmęczona trudami życia na farmie i troską o zaopatrzenie ufnej, lecz niezaradnej gromadki, która skupiła się pod jej opiekuńczymi skrzydłami, Helena Modrzejewska postanowiła wrócić na scenę.

Przeszkody były olbrzymie. Nikt jej w Ameryce nie znał, nie miała też żadnych protektorów. Przede wszystkim zaś musiała opanować język angielski, bez którego nie mogło być mowy o kreowaniu ról w jej ulubionych arcydziełach.

Opuściła farmę i pojechała do San Francisco, gdzie z taką samą wytrwałością, z jaką zdobyła zaszczytne miejsce na scenach polskich, przykładała się do opanowania w ciągu sześciu miesięcy języka angielskiego. By po tym terminie móc zacząć kołatać do drzwi dyrektorów teatrów i zabiegać o przesłuchanie.

Mąż i przyjaciele zachęcali Modrzejewską, lecz amerykański dyrektor miał wątpliwości. Pomysł jakiejś cudzoziemki chcącej grać na amerykańskiej scenie, chociaż mówiła tak fatalną angielszczyzną, że trudno było ją zrozumieć, wydawał mu się niedorzecznością.

Kiedy dyrektor zawołał nagle: „Nie nadaje się!” — Modrzejewska, która z wielkim wahaniami i lękiem stanęła do tego egzaminu zdając sobie sprawę, że nie jest jeszcze do niego przygotowana; wybuchnęła płaczem i

zwracając się do przyjaciół powiedziała: „Panowie, na coście mnie narazili!”

W San Francisco do cudzoziemskich aktorów odnoszono się z nieufnością. Modrzejewska miała więc wszystko przeciwko sobie.

„Kołatała do drzwi wielu teatrów, ale żaden z dyrektorów nie chciał jej przyjąć. „Pani nie znajdzie tu publiczności — odpowiadali. „Proszę tylko o próbę!” — nalegała, zgłaszając się uparcie po pewnym czasie znowu. Wszyscy jednak kierownicy scen uważali, że nie warto dla niej tracić czasu i energii. Cóż z tego, że mogła odtworzyć rolę Kamilli z Horacjuszów Corneille'a, Marii Stuart i Adrianny Lecouvreur, skoro nie dało się zaprzeczyć, iż ma fatalny akcent. Natarczywość zapalonych do sceny adeptek jest niczym w porównaniu z uporem i żelazną wytrwałością, jaką okazała wtedy Helena Modrzejewska. Wielka aktorka spotykała się wszędzie ze stanowczą odmową, lecz niezrażona przeciwnościami pułała wciąż na nowo do drzwi Teatru Kalifornijskiego.

„Często widywałem ją w drodze do gabinetu dyrektora McCullough — pisze dalej Belasco. — „Oho! znowu idzie ta polska aktorka” — mówiono wówczas. Wszyscy w San Francisco wiedzieli, że opuściła kraj i zastawiła biżuterię, lecz mało kto w tym okresie czuł dla niej sympatię i nikt prawie nie zdawał sobie sprawy z blasku jej sławy w Europie. Nagabywała McCullougha tak uporczywie, że w końcu nie mógł oprzeć się naporowi jej próśb i pewnego popołudnia otworzył przed nią drzwi Teatru Kalifornijskiego, pozwalając na próbny występ.

„Byłem na widowni tego dnia, gdy po raz pierwszy recytowała fragmenty różnych sztuk — wspomina Belasco. — Ta obca aktorką nie interesowano się zbyt w przypuszczeniu, że okaże się niezdarna i przemówi obcym akcentem. Wszystkich czekała niespodzianka. Ktokolwiek ją wówczas słyszał, od razu został zafascynowany dramatyczną siłą i ekspresją artystki. Na pierwszy ogień wybrała rolę Adrianny Lecouvreur z francuskiej sztuki, którą już grywała w Polsce. „Najświetniejsza kreacja teatralna naszych czasów” — tak brzmiał jednogłośnie werdykt, a McCullough szalał z zachwyty. Grała w San Francisco wszystkie role swego repertuaru, olśniła niby meteor całe miasto swoim ogniem, wdziękiem i wielkim urokiem osobistym”.

Pierwszy występ Heleny Modrzejewskiej w Stanach Zjednoczonych odbył się w San Francisco w dniu 13 sierpnia 1877 roku, w jedenastej miesiącu po jej przyjeździe do Kalifornii. Potem polska artystka występowała na scenach wielkich miast: w Nowym Jorku, Bostonie, Filadelfii, Chicago, Waszyngtonie i w miastach Środkowego Zachodu.

W ciągu kilku miesięcy była znowu u szczytu sławy. Wszystkie amerykańskie teatry zapraszały ją do siebie i otwierały przed nią swe podwoje. Grała z najslawniejszymi ówczesnymi aktorami, a ponadto utorowała drogę do sławy niejednemu dotychczas nieznanemu talentowi. Poza arcydziełami, które składały się na jej dawny repertuar, wprowadziła do teatrów amerykańskich dramat Ibsena „Nora” i Sudermanna „Magda”, obok sztuk współczesnych amerykańskich pisarzy. Najbardziej lubiła trudne role dramatyczne, zwycięsko wychodząc w porównaniu z najslawniejszymi rywalkami. Gdziekolwiek się pojawiała, przyjmowano ją z otwartymi ramionami. Znakomity poeta amerykański Henry Wadsworth Longfellow zawarł z nią serdeczną przyjaźń.

Nawet ci spośród krytyków, którzy wytykali jej obcy akcent lub jakieś białe usterki w grze, przyłączyli się do zgodnego chóru pochwał.

Kiedy 8 kwietnia 1909 r. Helena Modrzejewska zmarła, cała prasa Stanów Zjednoczonych złożyła hołd wielkiej aktorce i człowiekowi.

Wg D. Leavitt („Ameryka”)



Modrzejewska jako Viola w „Nocy trzech królów”

Zenek okazał się mężczyzną

(Dokończenie)

W kilka minut później ranny był już pod opieką lekarza.

— Gdyby dostarczono tego chłopca godzinę później — powiedział lekarz — źle byłoby z rannym.

Powinna pani za to podziękować panu sierżantowi.

— Nie — zaprzeczył milicjant — podziękowanie należy się temu małemu kierowcy, który w czasie nieobecności ojca, usiadł za kierownicą i wioził rannego. Przed miastem siadłem sam za kierownicą, bo on przy miejskim ruchu nie poradziłby sobie i mógłby nie tylko, że nie do-

wieźć rannego, ale jeszcze wypadek spowodować.

Zenkowi nie tylko dziękowała pani Jastrzębska, ale całe miasteczko i okolica mówiła o bohaterskim jego wyczynie. Dowiedział się również o tym zdarzeniu dziennikarz. Przyjechał do domu państwa Malinowskich. Zenek długo i szczegółowo opowiadał wszystko od początku.

Ojciec Zenka obiecał, że jeśli opis tego zdarzenia będzie wydrukowany w gazecie, to wytnie go, oprawi w ramkę i powiesi w pokoju, aby wszyscy, którzy przyjdą do Malinowskich, czytali o jego synu.

DZIECI PISZĄ — REDAKCJA ODPOWIADA

Janina Kazikowska, Płonie k/Szczecina. — W naszej klasie (V) zorganizowaliśmy „Klub majsterski”. Celem Klubu jest wykonywanie różnych zabawek z drzewa, materiału, słomy, z kory, papieru, kartonu itp. Zabawki, które wykonamy chcemy zawieźć do Szczecina, do żłobka, aby nimi obdarować na Boże Narodzenie i na św. Mikołaja najbardziej potrzebujących dzieci. Do Klubu należy pięciu chłopców i cztery dziewczynki. Ja jestem przewodniczącą Klubu...

Cieszymy się razem z Wami i życzymy Waszemu Klubowi wiele zadowolenia i radości. Nie ma bowiem na świecie nic piękniejszego, jak pomóc biednemu, otrzeć jemu łzy, dobrym uczynkiem wywołać u niego uśmiech. Czekamy na dalsze Wasze listy. Łączymy serdeczne dla Was pozdrowienia.

Jadwiga Liczmańska, Toruń. — „Które ze zwierząt na świecie jest najmądrzejsze, najinteligentniejsze?...”

Tym problemem zajął się uczonego zoolog, profesor Portmann i po długich badaniach opracował sposób obliczania inteligencji poszczególnych gatunków zwierząt. Polega on na obliczaniu stosunku wielkości wagi tej części mózgu, która kieruje wyższymi funkcjami organizmu (życie wewnętrzne, uczucia rodzinne itp.) do wagi i wielkości części mózgu, „sterującej” czynnościami ściśle fizjologicznymi, jak oddychanie, sen, trawienie itp. W wyniku swych badań profesor Portmann przedstawił wskaźniki liczbowe, świadczące o inteligencji zwierząt. Wyniki te są bardzo ciekawe. Trudno jednak jest jeszcze powiedzieć, czy teoria Portmanna jest słuszna naukowo. Oto niektóre wskaźniki Portmanna: Najwyższy wynik uzyskał człowiek: 214 punktów, drugie miejsce zajął delfin — 195 punktów. Inne zwierzęta legitymują się następującymi wskaźnikami: słoń — 150; małpa czelkokoształna — 63; zebra — 48, żyrafa — 38, lis — 28, a najmniej hipopotam — 18 punktów.

Hanna Głodkowska, Starachowice. — „Jestem bardzo umuzykalniona. Mam bardzo dobry słuch. Pasjonuje się grą na fortepianie. Lubię chodzić na koncerty. Marzę o skończeniu konserwatorium muzycznego i zostaniu dyrygentem. Ale czy będę mogła? Wszyscy dyrygenci, o których słyszałam byli i są mężczyznami...”

Dyrygent orkiestry symfonicznej — to nader rzadki zawód dla kobiety, jednak nie wyłączny dla mężczyzn. Na Litwie młoda Margerita Dwaronajtie jest dyrygentem orkiestry symfonicznej i odnosi bardzo wielkie sukcesy. Może i ty staniesz się polską „Margeritą”?
Zyczymy powodzenia i wytrwania w postanowieniu.

ROZEŚMIANA AGNIESZKA

W kamienicy naszej mieszka
Roześmiana wciąż Agnieszka.
Kiedy rano dzwoni budzik,
Agnieszka się ze śmiechem budzi.

Za Agnieszka zaraz z rana
Musí się roześmiać mama
I sąsiadka, gdy przez ścianę
Słyszcy głosy roześmiane.

Podzwaniając głosem cienkim,
Biegnie z mydłem do łazienki
Tam się pluszcze, tam się śmieje,
Gdy się woda z kranu leje.

Potem pies, choć to trudno jest
uwierzyć,
Też w uśmiechu zęby szczerzy.
Tak z Agnieszka w każdy ranek
Cały dom jest roześmiany.

SAKRAMENT BIERZMOWANIA

NAZWY „SAKRAMENTU BIERMOWANIA”

Człowiek dzieckiem być zawsze nie może. W miarę lat wzrasta i rozwija się, aż dochodzi do pełni dojrzałości. Chrześcijanin przez Chrztęstwo staje się dzieckiem Bożym. Ale w miarę jak wzrasta, zaczynają się mnożyć przeszkody; napotyka coraz więcej wrogów, z którymi musi walczyć. Dlatego potrzebuje specjalnej pomocy od Pana Boga. Pomyślał o tym Pan Jezus i ustanowił osobny Sakrament dla umocnienia swoich wiernych wyznawców. Sakrament ten nazywamy Bierzmowaniem.

Nazwa ta pochodzi od słowa „bierzmo”. Dawniej bierzmem nazywano w Polsce główną belkę, która w izbie podtrzymuje cały sufit. Do dzisiaj takie belki pięknie rzeźbione spotkać można u górali i gdzie indziej. Piękne porównanie: jak owa belka — bierzmo podtrzymuje cały sufit mieszkania, tak i Sakrament Bierzmowania umacnia i podtrzymuje w nas religię i wiarę. Bez Sakramentu Bierzmowania można wprawdzie zbawić się, ale jakże trudno, bo ilu pomocy jest pozbawiony taki chrześcijanin. Dlatego

Kościół św. daje dzisiaj władzę udzielania Sakramentu Bierzmowania nawet zwykłym kapłanom w pewnych wypadkach, byle tylko dopomóc wiernym do zbawienia.

Oprócz nazwy „Bierzmowanie” są jeszcze inne nazwy: Sakrament Umocnienia, Sakrament Ducha Św., Sakrament Dojrzałości Chrześcijańskiej. Sakrament Akcji Katolickiej. Sakrament Rycerzy Chrystusa itp. Jak więc wiadać wszystkie te nazwy podkreślają, że Sakrament ten daje siłę do wyznawania wiary.

Co to jest Bierzmowanie?
Katechizm mówi: „Bierzmowanie jest to Sakrament, w którym Duch św. umacnia chrześcijanina, aby wiarę swoją wyznawał, bronił jej i według niej żył!”

Głównym więc celem Sakramentu Bierzmowania jest utwierdzenie, umocnienie nas w wierze św. Dlaczego? Bo kiedy człowiek zostaje ochrzczony, staje się dzieckiem Bożym, ale jest on jeszcze bardzo słabym i w czasie burz, pokus i szatanem, złymi ludźmi człowiekowi młodemu potrzeba pomocy, podpory. Tę podporę umocnienia na duszy daje człowiekowi właśnie w Bierzmowaniu Duch Św.

Ks. E. K.

PRYZGODY DARIUSZA⁹

— Kolego, tylko spokój i cisza może nas uratować. Każdy z nas dąży do dobra, a do niego prowadzi różne ścieżki. Ja dążę utartym przez siebie szlakiem i trudno byłoby mi nie podążać nim. Kolega do dobra i prawdy, poszukuje dopiero ścieżki i nieraz jeszcze potknie się o ukryty, niezauważony „kamień”.

— Jakie jest zdanie kolegi o tym naszym nowym uczniu Dariuszu Maciejewskim? Poznał go pan już chyba, co? — spytał raz Pawłowski profesor Janusz Monkiewicz.

— Hm! — odpowiedział zapytany. — Przyjacielu mnie na ogół koledzy, do których i pan się zalicza, klasyfikują do rzędu dziwaków. Ja wiem, że dla wielu jestem dziwakiem. Może i tak jest, bo ja na wiele spraw mam swoisty pogląd i swój sposób podejścia do zagadnienia. Taki swoisty pogląd mam również na naszą młodzież, do której należy również ów nowy, o którego kolega pyta.

Według mnie, to w szkole, w klasie, a może i na świecie istnieją dwie odmiany chłopców: ci co dokuczają i ci co nie dokuczają. Na przestrzeni lat praktyki nauczycielskiej spostrzegłem, że dokuczający nam, koledze, mnie, to „dzieci”, niesforni, hałaśliwi, pełni życia, a ci niedokuczający, to łagodni, spokojni i miłego układu. Po prostu ja dzielę ludzi na: żywych i spokojnych. Za bardzo jednak Kocham każdego człowieka, abym „żywych” zaliczał do złych. Oni są niesforni, ale w gruntu dobrzy ludzie, dobrzy chłopcy. Trzeba jednak umieć w „żywym” człowieku odkryć i wydobyć, jak drogocenną perłę, dobre zalety charakteru i na nich budować przyszłość tego właśnie „żywego” człowieka, którego mamy wychować. To zaś wymaga od wychowawcy, od nauczyciela, dwóch rzeczy: spokoju i czasu. Ognia bowiem nie można gasić ogniem. Ogień życia gasić należy wodą spokoju, jak zburzoną fale morskie ucisza się rozlaną oliwą. Prócz spokoju trzeba wszystko powierzyć najlepszemu pedagogowi — czasowi. Czas bowiem zrobi swoje.

Wracając zaś do tematu, to jest do Dariusza Maciejewskiego, mogę już dziś powiedzieć, że jest to nadzwyczajny dobry chłopiec, ale przy tym jest oryginalnym, „żywym srebrem”, jak słusznie zauważył kolega Gapys. I ten, kto go nie zrozumie i oceniał będzie po jego żywotności, może mu wyrządzić ogromną krzywdę. Jak zauważyłem, on nie chce nikomu dokuczyć, chce się tylko zabawić, chce, aby wszyscy z nim śmiali się, weselili, biegali i ruszali. Przy tym jednak jest nadzwyczaj ambitnym, a równocześnie o subtelny usposobieniu.

Dalszą rozmowę przerwał im dzwonek na lekcję.

(Ciąg dalszy nastąpi)

KOŚCIÓŁ POLSKOKATOLICKI

CZY WIESZ, ŻE:

Kościół Polskokatolicki jest Kościołem Katolickim.

Posiada wszelkie znamiona Kościoła Chrystusowego.

DLACZEGO POLSKI
I KATOLICKI?

Kościół Polskokatolicki prowadzi wiernych do Boga i posługuje się w liturgii zrozumiałym dla nich językiem polskim. Zachowując naukę Jezusa Chrystusa (zawartą w Piśmie św. Tradycji oraz orze-

zeniach i uchwałach Soborów Powszechnych) czci Najświętszą Maryję Pannę i Świętych Pańskich, uczy swych wiernych miłości do Boga, szacunku dla bliźnich i ukochania Ojczyzny.

**KOŚCIÓŁ POLSKOKATOLICKI
JEST KOŚCIOŁEM**

APOSTOLSKIM:

Biskupi Kościoła Polskokatolickiego mają ważną sukcesję apostołską, której nie kwestionują nawet najbardziej zagorzali i fanatyczni duchowni rzymskokatolicy. Z ważności i prawdziwości sakry biskupiej w Kościele Polskokatolickim wypływa ważność kapłaństwa.

Msza św. w języku polskim i Sakramenty św. są tak samo ważne jak Msza św. odprawiana w języku łacińskim, greckim lub koptyjskim.

NA CZYM POLEGA RÓŻNICA?

Różnica polega na tym, że Kościół Polskokatolicki odrzuca dogmat o nieomyślności papieża i prymacie jurysdykcyjnym biskupów rzymskich. Tylko Bóg jest nieomyślny. Człowiek, również papież, może się mylić.

PODZIAŁ KOŚCIOŁA

Kościół Polskokatolicki w PRL dzieli się pod względem administracyjnym na:

a) Archidiecezję Warszawską,

b) Diecezję Wrocławską,

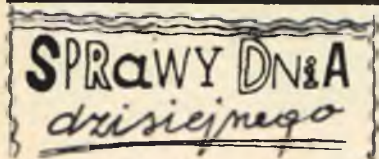
c) Diecezję Krakowską,

KIEROWNICTWO KOŚCIOŁA

Najwyższym zwierzchnikiem Kościoła Polskokatolickiego jest Prymas.

**STOSUNEK DO RUCHU
EKUMENICZNEGO:**

Kościół Polskokatolicki jest członkiem Światowej Rady Kościołów Chrześcijańskich, która skupia w swych szeregach ponad 430 milionów chrześcijan, a więc tyle, ile liczy Kościół rzymskokatolicki razem z obrządkami nierzymskimi na całym świecie.



FANATYZM ZBRONICZY CZYLI O PRAWIE LEKARZA DO RATOWANIA ŻYCIA

Wszyscy pamiętamy tragiczną katastrofę kolejową pod Moszczenicą koło Piotrkowa. Na wykolejony pociąg wpadł pociąg pospieszny. Pod rumowiskiem żelastwa utraciło życie kilkadziesiąt osób. Drugie tyle odniosło ciężkie obrażenia. Społeczna służba zdrowia, dzięki przytomności umysłu służby łączności, stanęła na wysokości zadania. Dostłownie w kilkanaście minut po katastrofie odbyło się pospolite ruszenie lekarzy i sanitarek szpitalnych. Kto żył spieszył z pomocą ofiarom wypadku. Rannych otoczono troskliwą opieką. Setki mieszkańców Łodzi, Tomaszowa i Piotrkowa Trybunalskiego pospieszyły z zaopieczaniem własnej krwi dla poszkodowanych. Krew tę oddawali bezinteresownie, rozumiejąc potrzebę tego rodzaju daniny — w obliczu wielkiego nieszczęścia jakie spadło na wielu ludzi poszkodowanych w tragicznej katastrofie kolejowej.

Był to normalny, ludzki odruch. Dla ratowania życia bliźniego oddanie własnej krwi w rozsądnej ilości, określonej świadomą decyzją lekarza — jest spełnieniem obowiązku obywatelskiego. To jest właśnie KLASYCZNY PRZYKŁAD MIŁOŚCI BLIŻNIEGO.

☆

Kiedy w szpitalach woj. łódzkiego ludziska oddawali chętnie i bezinteresownie krew dla swych współbraci, w Ostrołęce dogorywała siedmioletnia dziewczynka, z której wyciekła krew na skutek wypadku samochodowego. Nieszczęśliwe dziecko przewieziono do szpitala. Tam lekarze orzekli, że jest konieczne przeprowadzenie natychmiastowej skomplikowanej operacji i niezbędna też jest transfuzja krwi. Lekarz zwrócił się do rodziców, obecnych w szpitalu, o wyrażenie zgody na operację dziecka i przeprowadzenie transfuzji. Rodzice odmówili ze... względów religijnych. Okazali się członkami sekty „Świadków Jehowy”. Ich wiara nie pozwala na transfuzję krwi, gdyż to pociąga za sobą skażenie człowieka...

Niestety lekarze ustąpili przed fanatyzmem rodziców. Dziecko zmarło. Najpewniej lekarze nie wiedzieli — pisze „Tygodnik Kulturalny”, że w omawianym wypadku wystarczyło zwrócenie się chociażby przez telefon do sądu, aby dziecko wyjęte zostało spod opieki rodzicielskiej i podane niezbędnym dla uratowania jego życia zabiegom chirurgicznym.

Opisywana sprawa ma jednak swoisty, okrutny aspekt. Matka dziecka, owa wyznawczyni nauki „Świadków Jehowy” jest nauczycielką. Jej to obskurantyzm i fanatyzm religijny sprawił, że utracono ostatnią szansę uratowania jej dziecka. Nie wiem czy operacja i transfuzja krwi przedłużyłyby żywot dziewczynki, ale jeśli utracono cień pozoru szansy uratowania jej życia to przyjęła na swoje sumienie ciężki

grzech. Utracono, mimo, że istniały do dyspozycji nieszczęśliwej dziewczynki wszystkie środki, jakimi dysponuje współczesna, nowoczesna medycyna. Dla źle wyedukowanej interpretacji matka — Świadek Jehowy poświęciła życie dziecka. Szczyt obskurantyzmu religijnego.

☆

Na marginesie tego wydarzenia na łamach organu Zrzeszenia Prawników — „Prawo i Życie” zamieszczona jest dłuższa dysertacja formalna o uprawnieniach lekarzy w wypadkach, kiedy zachodzi nagle potrzeba ratowania życia chorego, czy poszkodowanego — wbrew woli odpowiedzialnego otoczenia, które z różnych względów przeciwstawia się dokonaniu zabiegu, mogącego uratować życie. Z wywodów „Życia i Prawa” wynika postulat wydania przez Ministerstwo Zdrowia i Ministerstwo Sprawiedliwości instrukcji, która by doprowadziła do świadomości lekarzy, że **MOGĄ ŻĄDAĆ ZGODY WŁADZY OPIEKUNICZEJ NA OPEROWANIE WBRĘW WOLI RODZICÓW**. Instrukcja taka powinna ustalać tryb postępowania w tego rodzaju wypadkach. Ale jak dotąd zainteresowane ministerstwa nie zajęły stanowiska w tej sprawie. Toczony jest natomiast dość jałowe dyskusje na ten temat w prasie lekarskiej. Ale sama sprawa nie posunęła się ani kroku naprzód.

Śmierć siedmioletniej dziewczynki nie może być pokwitowana tylko listem otwartym do Inspektoratu Oświaty w Ostrołęce i do Prokuratury Powiatowej. Autor tego listu otwartego pyta Urząd Prokuratorski:

„czy w każdej okoliczności, na każdą operację musi mieć lekarz zezwolenie? Czy rzeczywiście, gdy opiekunowie rezygnują z udzielenia dziecku pomocy — lekarz musi też z tej pomocy zrezygnować?”

Naszemu zdaniem bezwzględnie NIE! Ale sam problem wymaga uregulowania prawnego. I dlatego wnosimy do właściwych instancji apel o uregulowanie tego zagadnienia w formie obowiązującego przepisu prawnego. Projekt ustawy o zawodzie lekarza, określa jego prawa i obowiązki, daje znakomitą okazję do ujęcia formalnego sprawy, o której piszemy. W myśl art. 18 tego projektu, lekarz dysponuje w zasadzie pełną swobodą postępowania przy świadczeniu usług z tym zastrzeżeniem, że metody te muszą być uznawane przez współczesną medycynę i zapewniać choremu jak najbardziej skuteczną pomoc. Przepis ten może zbyt elastyczny, ale podbudowany odpowiednią wykładnią może stanowić nieoceniony oręż w walce o życie, zagrożone przez prymitywny obskurantyzm, w tym wypadku religijny. Rzecz prosta, że zagadnienie wymaga nader dokładnych precyzji, aby uniknąć jakiegokolwiek nadużyć. Jasność postępowania będzie chroniła lekarzy przed stawianiem im niejednokrotnie niesłusznych zarzutów.

Należy zatem energicznie postulować wydanie odpowiednich zarządzeń rozszerzających uprawnienia lekarzy niezwłocznie po uchwaleniu nowej ustawy o zawodzie lekarza.

ADAM KŁOS

PORADY PRAWNE

Pan JAN CZYŻEWICZ — wieś Gądky 74, poczta Jasło.

Na list Pana w sprawie braku wzajemnej pomocy w pożyciu małżeńskim oraz zamierzenia Pana skierowane do rozwodu, redakcja uprzejmie odpowiada.

Żalę Pana na brak opieki ze strony małżonki, szczególnie w chwilach choroby oraz przejawiająca się niechęć do współpracy przykładnego ze strony żony, okoliczności te stanowią podstawę do rozwodu z winy żony.

W świetle przepisów kodeksu rodzinnego — Ustawa z dnia 27 czerwca 1950 r. — mąż i żona mają równe prawa i równe obowiązki w małżeństwie i z tego tytułu są wzajemnie zobowiązani do udzielania wzajemnej pomocy, a także współdziałania w przypadkach konkretnych, życiowych. W braku takiego elementarnego zrozumienia istotnych interesów, każdy z małżonków może zwrócić się do sądu o rozstrzygnięcie konkretnego sporu.

Zaszło nieporozumienie w sprawie sprzedaży krowy, bez Pana wiedzy i przywłaszczenie tych pieniędzy przez żonę, nie jest przestępstwem w rozumieniu przepisów kodeksu karnego. W chwili bowiem zawarcia związku małżeńskiego, przedmioty majątkowe, nabyte przez któregokolwiek z małżonków w czasie trwania małżeństwa, stanowiące jego dorobek, są wspólnym majątkiem obojga małżonków. Jest to tak zwana wspólność ustawowa. Właśnie na tle tego przepisu wynika zasada współdziałania dla dobra rodziny. Uchybienie tej zasadzie, względnie odmowa udzielania pomocy wzajemnej w chwilach decydujących o życiu człowieka stanowi obrazę tego przepisu a fakty tego rodzaju stanowią podstawę do rozwodu. Zwłaszcza, że jak wynika z treści listu i wieku Pana, dorosłe już dzieci nie stanowią prawnych przeszkód do wystąpienia do sądu o rozwód. Wyraźnie o tym mówi przepis art. 29 § 1 powołanej Ustawy: „Jeżeli między małżonkami nastąpił z ważnych powodów zupełny i trwały rozkład pożycia, każdy z małżonków może żądać, aby sąd rozwiązał małżeństwo przez rozwód”.

W przypadku Pana należy jednak wziąć pod uwagę prawdopodobnie długi okres pożycia małżeńskiego. Dlatego należałoby przede wszystkim szukać wspólnie z żoną porozumienia celem usunięcia przeszkód stanowiących podstawę do rozwodu. Pomocą ku temu może być najbliższa rodzina żony względnie rada dobrych ludzi. Rozwód — to jeszcze nie ustabilizowanie nowego życia, zwłaszcza kiedy zbliża się nieuchronnie 70-ty rok życia. Proszę zwrócić uwagę, czy przypadkiem Pan, osobiście nie jest winien wytworzonego niewłaściwego stosunku względem żony. Kiedy zawiodą wszystkie próby podjęte do unormowania wzajemnych obowiązków, wtedy i sąd na tę okoliczność zwróci uwagę przed podjęciem postanowienia.

Mgr JÓZEF MIŁASZEWICZ

ROZMOWY Z CZYTELNIKAMI

Pani Stanisława Piegza w swoim liście skierowanym do Redakcji m.in. pisze:

„...a dlaczego to wy odprowadzacie po polsku, a Kościół rzymskokatolicki na całym świecie po łacinie. Z tego wynika, że co kraj to musiano by odprowadzać w ojczyźstych językach. A języków tych nazbierałoby się niemało”.

Droga Czytelniczko. Kościół rzymskokatolicki używa łaciny. To prawda. Ale oprócz języka łacińskiego są tam różne obrządkowe, w których Msza św. odprowadzana jest w rozmaitych językach np. koptyjskim, maronickim, bizantyjskim, ormiańskim, chaldejskim, itd.



CHCĘ BYĆ PIĘKNA

DIETA TUCZĄCA

Czytelniczka podpisująca się „Stroskana matka z Grudziądza”, zwróciła się do naszej Redakcji z prośbą o podanie diety tuczającej. Spełniając to życzenie podaję całodzienny jadłospis.

Śniadanie: 4 łyżki płatków owsianych namoczonych poprzedniego dnia w mleku (1/2 litra do 1/2 litra), tuż przed spożyciem przyprawionych łyżką miodu i tartym jabłkiem. 1-2 grube kromki chleba z masłem i filiżanka kakao z utartym żółtkiem z cukrem. Na zakończenie szklanka soku z pomidorów, lub marchwi.

II śniadanie: filiżanka tłustego bulionu, lub kwaśnego mleka. Do tego 1-2 kromki chleba z masłem i wędliną. 2-3 jabłka.

Obiad: talerz zawieszistej zupy; wieprzowina, lub tłusta wołowina, zawieszisty sos ze

Dla przykładu podamy, że w liturgii antiocheńskiej językiem liturgicznym jest starosyryjski, który jest bardzo zbliżony do języka aramejskiego, jakim posługiwał się właśnie Chrystus Pan.

Liczba chrześcijan pozostających poza Kościołem rzymskokatolickim osiąga 430 milionów, a zatem jest ona nie mniejsza od liczby wyznawców rzymskokatolickich.

Dzisiaj już nawet nie lansuje się powiedzenia „poza Kościołem rzymskokatolickim nie ma zbawienia”. Jeszcze tylko w niektórych krajach kler rzymskokatolicki jest przesadnie uczulony na punkcie innych wyznań i niedwuznacznie daje im to odczuć w różnej formie. Zbyt długo nawracano nas mieczem. Miecz wycisnął piętno na pokoleniach, które wydając rzymskokatolickich duszpasterzy, wydaje ich sfanatyzowanych, zawziętych.

śmietaną, kluski, lub ziemniaki, jarzyna z masłem, lub surówka z oliwą, kompot z kawałkiem ciasta, albo budyń.

Podwieczorek: jedna, lub dwie filiżanki kakao, ciasto, lub ciastka, ewentualnie 2 kromki chleba z masłem i twarogiem śmietankowym. Owoce.

Kolacja: dwa jaja smażone, lub jajecznica z boczkiem, porcja smażonych ziemniaków, szpinak, lub gotowana marchew z zasmażką. Kromka chleba z masłem i rzodkiewkami, lub cebulą. Pół litra pełnego mleka.

Przed spaniem: szklanka mleka z łyżeczką miodu i jabłko.

Dla szybszego przybrania na wadze wskazane jest leżenie 1/2-1 godziny po obiedzie, oraz wczesne (do godz. 22) chodzenie spać. Dla poprawienia apetytu nie należy zapominać o codziennym 1-2 godzinnym spacerze po świeżym powietrzu bez względu na pogodę.

Przy okazji listu Czytelniczki z Grudziądza pragnę załatwić inną sprawę dotyczącą wszystkich Czytelniczek zwracających się o porady. Czytelniczka z Grudziądza prosi o szybką odpowiedź, niestety musi na nią czekać co najmniej 4 tygodnie, tyle bowiem trwa cykl produkcyjny jednego numeru „Rodziny”. Czytelnicy, którym zależy na szybkiej odpowiedzi sa więc proszeni o podawanie nazwisk i adresów wówczas odpowiedź prześlemy pocztą.

Dr. A. M.

Anekdoty

Kiedy Moliere był chory i nie mógł wstać z łóżka, bez jego wiedzy wezwano lekarza.
— Pan doktor przyszedł — oznajmił lokaj.
— Powiedz, że nie mogę przyjąć — rozkazał Moliere — bo jestem chory.

Einstein był z wizytą u znajomych. Kiedy już się żegnał, zaczął padać deszcz. Znajomi zaproponowali mu pożyczanie kapelusza. Einstein odmówił, mówiąc:
— Po co? Wiedziałem, że będzie deszcz i specjalnie nie wziąłem kapelusza. Schnię bowiem o wiele wolniej od moich włosów.

Profesor uniwersytetu egzaminuje studenta przez pół godziny, wreszcie mówi:
— Jest pan wyjątkowo uzdolniony. Potrafi bowiem pan w kilku słowach powiedzieć niezwykłą ilość głupstw.

Sekretarka pisze na maszynie. Podchodzi do niej dyrektor, aby coś podyktować.
— Co pani pisze? Ach, to dla mnie. Wobec tego przyjdę później. Przecież nie będę przeszkadzać sam sobie.

Pewnego roztertargionego uczonego przedstawiono jakiejś damie, która stwierdziła, że poznaje go już po raz trzeci.
— Proszę mi wybaczyć — tłumaczył się ów uczonego — ale za każdym razem miała pani na sobie inną suknię.

Kiedy się spytano Daltona, dlaczego się nie żeni, odpowiedział:
— Moja głowa jest zbyt napchana trójkątami, doświadczeniami z dziedziny elektryczności oraz reakcjami chemicznymi, aby się tam mogła jeszcze zmieścić myśl o żonie.

Książę bawarski Luitpold spotkał pewnego razu swego długoletniego strzelca. Obaj mieli wówczas po dziewięćdziesiąt lat.

— Co u ciebie słychać? — pyta książę.
— Ano cóż, Wasza Książęca Mość, starzejemy się i głupiejemy.

— Ze się starzeję — to sam widzę, ale tego, żebym zgłupiał — nie zauważyłem — broni się książę Luitpold.

— To prawda, Wasza Książęca Mość, my tego nie widzimy, ale za to inni widzą doskonale.

Piotr Curie o Paryskiej Akademii Nauk wyraził się kiedyś następująco:

— Jeszcze nie odkryłem dotychczas, do czego służy Akademia.

Lekarze zabronili Einsteinowi palenia, lecz uczonego nie potrafili się wyrzec tego nałogu. Z tego też powodu dochodziło do codziennych kłótni między nim a żoną. Pewnego dnia wchodzi żona do pokoju, zastaje Einsteina z fajką, i pyta stroskana:

— Która to z kolei dziś fajka?

— Pierwsza.

— Jak to pierwsza? Przecież przed chwilą widziałam...

— No, więc druga.

— Nieprawda. Co najmniej czwarta.

— Moja droga — śmieje się Einstein — przecież mi nie w mówisz, że jesteś mocniejsza w matematyce ode mnie.

STYCZEN

N	20	II po Objawieniu Pańskim, Sebastiana, Fabiana
P	21	Agnieszki, Jarosława
W	22	Wincentego, Anastazego
S	23	Rajmunda, Ildefonsa
C	24	Tymoteusza, Felicji
P	25	Pawła, Miłosza
S	26	Polikarpa, Pauliny



Wydawca: Wydawnictwo Literatury Religijnej. Redaguje Kolegium. Redaktor Naczelny — Ks. mgr Tadeusz Gorgol. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, ul. Wilcza 31. Tel. 8-97-84; 21-74-98. Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmowane są w terminie do dnia 15 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty przez: Urzędy Pocztowe, listonoszy oraz Oddziały i Delegatury „Ruchu”. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO Nr 1-14-147290 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”, Warszawa, ul. Srebrna 12. Na odwrócie blankietu należy podać tytuł zamawianego czasopisma, czasokres prenumeraty oraz ilość zamawianych egzemplarzy. Cena prenumeraty: kwartalnie — zł 26, półrocznie — zł 52, rocznie — zł 104. Przedpłaty na tę prenumeratę przyjmuje na okresy kwartalne, półroczne i roczne Przedsiębiorstwo Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch” w Warszawie, ul. Wilcza 46 za pośrednictwem PKO Warszawa. Konto Nr 1-14-147290. Czytelnicy poza granicami kraju mogą zamawiać tygodnik „Rodzina” za pośrednictwem: Przedsiębiorstwa Eksportu i Importu „Ruch” Warszawa, ul. Wilcza 46; prenumerata roczna dla Europy wynosi: 7 \$, 19,70 DM, 23,40 NF, 1,13 \$ L; prenumerata roczna dla St. Zjednoczonych i Kanady 7 \$; prenumerata roczna dla Australii 2,10 \$ LA i 20,4 \$ ZE.

Zakłady Wkleslodrukowe RSW „Prasa”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Zam. 2080. L-6.

DAVID PARK

„W miarę upływu lat człowiek zaczyna sobie uświadamiać, że jest sobą, że zadaniem jego nie jest iść za pewnym stylem, ale robić to, co chce sam” — powiedział kiedyś David Park do jednego ze swych najbliższych przyjaciół.

Uświadczenie tego nie przyszło jednak Parkowi łatwo. Własny styl odnalazł dopiero po czterdziestce. Niedługo potem, gdy miał lat 49, zmarł na raka. W ostatnim okresie swego życia Park stworzył dzieła, które przyniosły mu wiele nagród i wielkie uznanie. Tygodnik „Time” pisał o nim, że był on „jednym z najbardziej znamienitych malarzy w dziesięcioleciu 1950—1960”. Jego mocne postacie, które nieraz przecinają ramy płócien tak, jakby całość była autentycznym fragmentem rzeczywistości, były dla wielu malarzy grupujących się w San Francisco inspiracją w ich nawrocie do malarstwa przedstawieniowego. Zdaniem kustosa jednego z muzeów, Thomasa Carr Howe, Park wzbudził „pionierskiego ducha w kołach śmiałych, kierujących się bujną wyobraźnią malarzy, co na pewno pozostawi trwałe ślady w sztuce”.

Urodzony w Bostonie, David Park, wzrostem i budową przypominający Gary Coopera, był jak i ten aktor zrosnięty z amerykańskim Zachodem, ponieważ mając 17 lat znalazł się na wybrzeżu Oceanu Spokojnego i spędził tam większość swego życia. Pracował jako kamieniarz u rzeźbiarza, jako malarz fresków w budowach wznoszonych w ramach federalnych projektów po roku 1932, jako robotnik w fabryce zbrojeniowej w czasie drugiej wojny światowej, a od 1943 roku jako profesor, najprzód w Kalifornijskiej Szkole Sztuk Pięknych w San Francisco, a później na wydziale sztuki Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley.

W życiu jego mało było bohemy, typowej dla artystycznej awangardy. Mieszkał w ładnej podmiejskiej dzielnicy, miał stałą pracę, był szczęśliwym mężem i ojcem.

Nieme i zastygłe w oczekiwaniu postacie Parka mimo to tchną życiem, co podkreśla bogactwo kładzonej farby i zdecydowane, grube pociągnięcia pędzla. Park nie maluje osób, ale człowieczeństwo: dwie kolorowe plamy, jedno śmiało pociągnięcie w dół, kresa poprzeczna, i w prostocie jakiejś jawy sennej wynurza się twarz. W miarę zbliżania się nieubłaganej śmierci, postacie na jego obrazach nabierały coraz wyraźniejszych cech przemijającej samotności i hieratycznej powagi, przywołując na pamięć bizantyjskie mozaiki czy maski afrykańskie.

Zapamiętane z dzieciństwa sceny z Nowej Anglii mieszaną się w obrazach Parka ze scenami z plaż Pacyfiku i z jego życia w Berkeley. We wszystkich tych obrazach dominują postacie ludzkie. Nie przestając w czasie swej śmiertelnej choroby malować, Park zagłębiał się coraz bardziej w poszukiwaniu, by znaleźć pełny odpowiednik swej artystycznej indywidualności. „Wiedział, że to koniec, ale nie ustawał w pracy ani na chwilę” — powiedział jego przyjaciel, malarz Richard Diebenkorn.

Wg. A. Rolanda („Ameryka”)



Autobus (1951)



Trzech chłopców na plaży (1937)



Dwoje ludzi (1959)



Kompozycja z dwiema postaciami w bujaku